Nr. 3. Warszawa, dnia 3 (15) Stycznia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Czesi i Niemcy. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: W. Doroszewicz. Sachalin (c. d.). — ŻYCIE SPOŁECZNE: Kasy ubezpieczeń. — Listy petersburskie, p. Pawła Krzyżanowskiego. — Na stary temat, II, p. M. Mutermilcha. — FEJLETON: Pamiętnik — BADANIA NAUKOWE: Zarys dziejów filozofii pierwotnej, III, p. L. Krzywickiego. — Filozofia. „Przegląd filozoficzny.“ — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. Władysława Sterlinga. — Pegląd muzyczny, p. Br. N. — Notatki literackie i artystyczne. — Doniesienia urzędowe. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

CZESI I NIEMCY.

Niewesoły spadek po p. Badenim objął prezes gabinetu urzędniczego Gautsch. Jedynem dobrodziejstwem inwentarza, które mogło mu ciężar odziedziczony mniej srogim uczynić, było odroczenie Izb na czas nieograniczony. Gdyby Izba deputowanych zasiadała, sceny majowe i jesienne znalazłyby napowrót gotowych aktorów w rozhukanym żywiole niemieckim. Przerwę w posiedzeniach, obecnie już prawidłową, bo spowodowaną przez obrady sejmów koronnych, wypełnił p. Gautsch monologami z samym sobą i dyalogami z każdym zapaśnikiem z osobna. Wszystkie myśli, pomysły, oświadczenia i wyznania krążyły w zaklętem kole, zakreślonem, nie tyle przez rozporządzenia językowe, ile przez głębsze, psychologiczne już czynniki. Można wytykać nienasyconą pożądliwość i pychę niemiecką, drwiącą z rozsądku, sprawiedliwości i umiarkowania rozporządzeń p. Badeniego: trudno nie przyznać, że podłoże tej pychy daje instynkt zachowawczy. Liczebnie słabi, niżsi płodnością, czują, że tylko stojąc w górze i przewodząc narodowości słowiańskiej, będą mogli na widowni wieków utrzymać swą dziejową i etnograficzną indywidualność. Wyższość ich kultury mniej już dziś znaczy, gdy przeciwnicy ich w kulturę wzrośli, a demokratycznym swoim układem społecznym potęgują jeszcze jej zdobycze. Czesi znowu, czując się w liczebnej większości, na swojej przed wiekami zajętej ziemi, która przedtem do żadnego z dzisiejszych historycznych narodów nie należała, patrzą na Niemców, jak na najeźdźców i przybyszów, na pachołków i przedstawicieli historycznie znienawidzonej Austryi. Wszystkie cierpienia, wszystkie prześladowania i męki, materyalne i umysłowe ubóstwo, cała niedola i pognębienie stają im żywo w pamięci na widok zwartych szeregów niemieckich. Żądza na żądzę, jak zawsze i wszędzie w dziejach; a jeśli pod pychą niemiecką drga instynkt zachowawczy, nad młodem życiem politycznem Czechów unosi się geniusz bytu, ostrzegający ich, aby się już nie dali wyparować z raz zajętego stanowiska i szli wciąż naprzód do coraz większego wyzwolenia: kogo z wyżyny ściągną, tego i w dół zepchną.

Ta logika samozachowawczości ma u Czechów ideał dziejowy, na którym się wzmacnia i krystalizuje — ma koronę św. Wacława, żal po jej utracie i pragnienie jej odzyskania. Po patencie nadawczym Ferdynanda I, kiedy jeszcze pruski dziś Szląsk do korony tej należał, t. zw. prawo państwowe Rudolfa II ukształtowało Czechy i Morawię i krainę szląską w odrębną całość, w której rzeczywistą spójnią prócz armii miała być osoba samego panującego, w Pradze koronowana. Nie było wtedy dzisiejszej walki między obu narodowościami; obie też z udzielności zapewnionej całości krajów korony św. Wacława korzystać miały. Bitwa pod Białągórą wymieniła wolność na najstraszliwszą niewolę. Wraz z nią przyszła przemoc niemiecka i katolicka. Coraz większa centralizacya w Wiedniu, coraz silniej organizowana naokoło Burgu Habsburgii, wydarły prawa nabyte i Niemcom i Czechom; ale Niemcy, jako rasa panująca, prędko się pocieszyli, o patentach i staatsrechtach, o sejmach rzeczywistych zapomnieli i na ową koronę wszechczeską patrzyli już tylko przez szkła historyografów. Blizko dwa wieki ucisku i upośledzenia rozproszkowały Czechów na żyjątka fizyczne, każde z osobna żeru sobie szukające: wspólna dusza narodu wpadła w letarg, zamarł też i wspólny ideał polityczny. I tutaj również, choć z innych przyczyn, o koronie Wacławowej nikt nie pomyślał. Gdy w końcu przeszłego wieku naród czeski odradzać się zaczął, rozbudziła się w nim i pamięć praw historycznych, niegdyś Niemcom i Czechom wspólnych. krainom czeskim nadanych. Niemcy podówczas już zbyt dobrze się wypasali na ogólnem pastwisku austryackiem, aby ich błonia odrębności krain czeskich nęcić mogły. Duchowy spadek po wieku XVII-ym dostał się wyłącznie Czechom, bo oni jedni tylko do niego się zgłosili. Korona św. Wacława jest dziś czeskim ideałem narodowym, odpychanym przez Niemców.

Głębsze są zatem powody i przyczyny tej walki, na którą dziś patrzymy, niż rozporządzenie językowe i samo zadanie równouprawnienia obu języków; chmurniejszemi też są widoki pokoju po walce, bardziej powikłaną kwestya prawności dążeń obustronnych — niż się to na pierwszy rzut oka przedstawia. Jeżeli owa korona ma z dźwięku stać się zmateryalizowaną w instytucyach państwowych rzeczywistością, muszą z niej korzystać obie narodowości, przedewszystkiem obie muszą jej chcieć jak na Morawach, tak w Cze-

chach. Urządzenie stosunku między obu narodowościami w sposób rdzennie-prawny, potrzebom zgodnego pożycia zadość czyniący, powinno się nierozerwalnie z wyodrębnieniem politycznem krain czeskich złączyć, a to znowu nie będzie możliwem bez ujęcia całej Przedlitawii w budowę federalistyczną. Obszar też samych krain czeskich musi być zmienionym, obciętym. Życie walczy z historyą. Szląsk nie może być dziś już tak czeskim, jak był w XVII w., a poczucie prawa własnego odpycha dziś od Czechów nieliczną, ale odrębnie żyć pragnącą ludność. W każdym razie, czy wybije godzina federalizmu i odzyskania praw historycznych przez Czechy i Morawy, czy jeszcze pod rządami dzisiejszej konstytucyi wypadnie rozwiązywać zagadnienie trwałego uspokojenia obu narodowości — roboty w Pradze poprzedzić muszą wszelkie usiłowania wiedeńskie. Jeżeli sejm praski nie podkurzy i nie zadusi smoka niezgody, na nic się nie zdadzą monologi i dyalogi barona Gautscha w Wiedniu. W zagajonym d. 10 b. m. sejmie czeskim dobrym krokiem na drodze jest wniosek barona Buquoy, aby wyznaczyć komisyę do obmyślenia warunków pojednania. Jeżeli Niemcy w tej komisyi poważnie, nie jak ulieczniki, zachowywać się będą, narady zaczęte od rozporządzeń językowych mogą się zakończyć na ogólnym układzie najważniejszych stosunków wspólnego pożycia. Robota taka ułatwiłaby w wysokim stopniu ostateczne rozwiązanie, które może dać tylko idea federalizmu, dla Czech prawami ich historycznemi jeszcze spotęgowana. Im dłużej potrwa wojna czesko-niemiecka, tem głębiej rysować się będzie sklepienie monarchii austryackiej. Przez Czechy wdarły się militarnie Prusy do Austryi w r. 1866, przez Czechy wedrą się do niej politycznie Niemcy w roku — może już niedalekim. Nieuczciwa polityka pruska może dziś już dziś wiąże arkan na sprzymierzeńca.

Tydzień polityczny. D. 11 b. m. zagajono sejm pruski. Niewyraźne telegramy gazet miejscowych pozwalają tylko widzieć w mowie tronowej ustęp o nowym 100-milionowym nakładzie na kolonizacyę w Poznańskiem i Prusiech zachodnich, ale nie dają pewności, czy rzeczywiście p. von der Recke, minister spraw wewnętrznych, otrzymał od cesarza rozkaz, odpowiadający gorącym jego własnym pragnieniom. Przed sejmem *Norddeutsche Allg. Ztg* i *Post*, wiedzące zwykle, co się dzieje w ministeryach, wystąpiły z piorunującymi artykułami o niegodziwości polskiej, o zamiarze odbudowania państwa polskiego, o wyzywającej postawie Polaków i konieczności bronienia się, spadającej na Niemców. Okazałoby się w razie potwierdzenia wiadomości, że posłuchanie ze śniadaniem w d. 3 b. m., dane arcybiskupowi Stablewskiemu, zastało już rzecz przygotowaną i nieodwołalną i że rząd prusko-niemiecki ma nadzieję przeprowadzić swoje żądania na marynarkę bez głosów polskich.

D. 11 b. m. również zebrały się Izby francuskie. Oskarżeni o Panamę deputowani byli już wówczas oczyszczeni; Arton nie dowiódł im nic takiego, coby mogło przekonać i sąd. Tego samego dnia zapadł wyrok uniewinniający Esterhazego, a pośrednio potwierdzający skazanie Dreyfussa. Sąd wojenny zasiadał jawnie, ale na pojedyncze momenta procesu rzucał zasłonę, wydalając publiczność; momenta zamieniały się w sceny. Niewątpliwie wypalała się tym procesem i hańba, którą przyszłe dopiero pamiętniki odsłonią.

Teraz już nie ulega wątpliwości, że okręty wojenne francuskie zarzuciły kotwicę u wyspy Hainan; od zawinięcia do opanowania niedaleko. Zajęcia Faszody na południu Sudanu przez jedną z czterech wypraw podróżniczo-naukowych Francuzi statecznie się wypierają.

Wrzenie polityczne o Chiny podobno pod chłodzącym powiewem dyplomacyi ustaje. Anglia porozumiała się z Rosyą, cofa swą eskadrę z Czemulpo; tu i w Port Arthur trzymać będzie tylko okręty stacyjne. P. Aleksiejew i Brown porozumieli się także między sobą i zgodnie wykonywać będą funkcye dyrektorów ceł koreańskich, zmieniając się pewno peryodycznie; oczywiście, stać się to mogło tylko za zgodą ich rządów. Japonia wysłała na wody chińsko koreańskie flotę, która chyba już tam nic do czynienia mieć nie będzie. Głoszono, że nowy gabinet japoński, hrabiego Ito, w końcu grudnia wytworzony, poddał tę flotę pod rozkazy admirała Bullera. Obie strony wypierają się porozumienia. P. Balfour, pierwszy lord skarbu, czyli przewódzca rządowy Izby Gmin, zapewnił d. 11 b. m. w Manchester, że nietylko Anglii, ale i innym idzie w Chinach jedynie o równouprawnienie handlowe. Anglia ma traktaty z lat 1842—3 i 6, potwierdzone późniejszym z r. 1860, po zdobyciu Pekinu, za Elgina. Niemcy zawarły traktat jeszcze w r. 1861 i poprzestają na nim, mając przytem Kiau-Czau, gdzie już urządzają się na dobre, myślą między innemi o kolei do rzeki Żółtej. Pożyczkę 16 mil. funt. sterl. dla Chin daje Anglia; również wielką dać chcą Francya z Rosyą; podobno Chiny wezmą obie.

D. 10 b. m. ustał w Pradze stan wojenny, a zasiadł sejm. P. Buquoy wniósł wytworzenie komisyi pojednawczej; dotychczas jej nie wybrano. Niemcy jeszcze nie zaczęli swej roboty, acz już ją zapowiadają: Wolf ze swojej, Schonerer ze swojej strony. O rozporządzeniach językowych nie było jeszcze mowy w pełnej Izbie. Czesi skłonni są do ustępstw: nie wymagają bezwarunkowej znajomości obu języków. Niemcy chcą podzielić kraj na czysto-niemiecki, czysto-czeski i mieszany; tego chyba nie dokażą.

Gen. Weyler przygotowuje *pronunciamento*. Wezwano go ponownie do Madrytu. Rząd zezwala na złożenie nad nim sądu. Na Kubie powstańcy z pod sztandaru Gomeza przechodzą pod sztandar autonomii, którą Blanco szczerze chce urzeczywistnić. Gabinet przygotowuje odpowiedź na orędzie Mc Kinleya, które istotnie armię hiszpańską ze stanowiska ludzkości obrzuciło błotem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KASY UBEZPIECZEŃ.

W warunkach bytu wielotysięcznych rzesz pracowników najważniejszą kwestyą doby dzisiejszej jest niewątpliwie zabezpieczenie przyszłości. Jak wiadomo, zabezpieczenie to bywa różnorodne, przypadkowe, połowiczne, w znacznej większości nie dające rzeczy-

---

35)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Ludzie rzeczywiście są niesłychanie rozdrażnieni. Wzajemna zaciekłość szczególnie się ujawnia przy ucieczce skazańców i podczas pościgu ich przez żołnierzy.

— Szkoda, żem nie zabił konwojowego! — z żalem mówił zbieg, dobroduszny w gruncie rzeczy, który uciekł dlatego, ażeby popłynąć łódką... do Ameryki.

— Po cóż ci to?

— A cóż oni z nami robią, gdy pojmają!?

Taką jest atmosfera, którą oddycha turma kajdanowa.

Rozdrażnieni więźniowie szerzą postrach, który pp. inspektorowie starają się zwykle pokryć pogardą.

— Ja z takimi niegodziwcami rozmawiać nawet nie chcę. Jeżeli łotr ostateczny, to go widzieć nie pragnę!

Można sobie wyobrazić, co się dzieje w więzieniu dla „doświadczanych,“ oddanych całkowicie opiece dozorców, którzy dawniej byli także katorżnikami. Co się robi w więzieniach, napełnionych największymi przestępcami, którzy po całych miesiącach nie widzą żadnej władzy. Jak tam katorżników traktują byli katorżnicy!

— Ależ tam wejść niebezpiecznie! — mówią urzędnicy — przecież to wszystko pała nienawiścią.

To prawda... Chociaż tam chodzą lekarze i humanitarny inspektor więzienia aleksandrowskiego. Przypuszczam, że najbezpieczniejszem miejscem na Sachalinie dla rodzin tych wszystkich osób byłaby turma kajdanowa, a mianowicie ten jej oddział, gdzie są umieszczeni bezterminowi. Tutaj czuliby, że są zabezpieczeni od wszelkiej zniewagi.

Atmosferą więzienia kajdanowego jest niezadowolenie, religią — protest. Wyraża się on rozmaitymi sposobami, niebezpiecznymi dla skazańców. Czasem np. nie zdejmują czapek.

Gdym raz przejeżdżał koło partyi kajdaniarzy, patrzyli na mnie wyzywająco. Tylko jeden zdjął czapkę.

Odpowiedziałem mu tak samo: również odkłoniłem się. W tej chwili partya odkryła głowy i krzyknęła:

— Witamy, wielmożny panie!

Takie jest więzienie „kajdanowe.“

Według przepisów, są tam trzymani tylko najwięksi przestępcy, od „piętnastoletnich“ do bezterminowych. Ale wchodząc tam, nie myślcie, że otaczają was wyłącznie „wyrzutki ludzkości.“ Nie, obok ojcobójców można znaleźć i takich, których cała wina polega na tem, że się gdzieś oddalili i nie przyszli na przegląd. W tłumie skazańców, których już imię strach wzbudza, jak Połułachow „ługeniski,“ Tomiłow „odeski,“ Wiktorow „moskiewski,“ widzieliśmy byłego oficera K—ra, którego posadzono w „kajdanowej“ na miesiąc za to, że nie zdjął czapki przed inżenierem górniczym. Znam wypadek taki: Żona jednego z urzędników prosiła, ażeby zamknięto w „kajdanowej“ katorżnika za to, że się zalecał do jej pokojówki, wzywał na schadzki i tym sposobem odrywał ją od zajęć. Stało się zadość żądaniu. Skazańca z szeregów „poprawczych“ przeniosiono do „doświadczanych“ na prośbę damy.

Skończywszy okres „doświadczania,“ katorżnik długoterminowy przechodzi z turmy „kajdanowej“ do „wolnej.“

Tak skazańcy nazywają „oddział poprawczy.“

Tutaj dostają się także odrazu po przybyciu na Sachalin „krótkoterminowi,“ tj skazani nie wiecej, niż na 15 lat katorgi.

„Poprawiani“ otrzymują więcej ulg. Dziesięć miesięcy liczy się dla nich jako rok. Dni świątecznych w ciągu roku 22. Nie golą im głów, nie okuwają w kajdany. Do roboty idą nie pod konwojem żołnierzy, lecz pod okiem dozorcy. Częst niemal zupełnie bez dozoru. I oto tutaj daje się spostrzegać dziwne zjawisko. Najcięższe, prawdziwie katorżne roboty, jak np. ciągnięcie berwion z tajgi, rąbanie i dźwiganie drzew, muszą spełniać skazańcy, zaliczeni do szeregów „poprawczych,“ których przestępstwo jest mniejszej wagi, gdy jednocześnie najwięksi zbrodniarze z oddziału „doświadczanych“ spełniają roboty najlżejsze. Człowiek skazany na cztery lub pięć lat za jakieś mimowolne zabójstwo podczas kłótni, o

wistych podstaw bytu. Kasy emerytalne istnieją tylko przeważnie dla pracowników instytucyj rządowych, dla prywatnych zaś nie zawsze są pewne i nawet, jak mieliśmy przykłady, kasy takie bywały zwijane. Przyglądając się różnym zmianom i udoskonaleniom w tej mierze, widzimy pewną dążność do jednolitości, mianowicie do ubezpieczenia życia na zasadach możliwie najkorzystniejszych dla pracowników. Wszelkie Towarzystwa asekuracyjne, mające na celu spekulacyę, interes własnych akcyonaryuszów, starają się ciągnąć zyski możliwie największe, otaczają swą klientelę siecią warunków uciążliwych, tak iż przy najmniejszem uchybieniu klient może stracić swoje wkłady, nawet dość znaczne. Ubezpieczenia, mające na celu pewne grupy pracowników i dla nich wyłącznie stworzone, jako nieodzowny warunek istnienia, oparte są zupełnie na innym systemie. Mają one na względzie interes ubezpieczonych. Takie organizacye istnieją i rozwijają się coraz szerzej za granicą, obecnie zaś zaczynają powoli wchodzić w państwo rosyjskiem. Przedewszystkiem zwrócono uwagę na potrzebę ubezpieczenia robotników fabrycznych, obecnie zaś przyszła kolej na rzesze, pracujące w przedsiębiorstwach komunikacyjnych, na razie tylko rządowych. W tym celu sfery właściwe naszkicowały już plan własnych kas ubezpieczeń, w których asekuracya będzie tańszą mniej więcej o 12% w stosunku do ubezpieczeń w towarzystwach akcyjnych. Nadto kasy te czynić mają swoim członkom ulgi w razie przerwania asekuracyi; wreszcie spłata premij będzie dogodna: za pomocą wytrącania z pensyi.

Kasy te asekurują swoich członków na następujących zasadach: Osobom obojej płci, służącym na kolejach żelaznych rządowych, przysługuje prawo wnoszenia do kas kolejowych emerytalnych lub oszczędnościowych wkładów dobrowolnych w celu ubezpieczenia pensyi lub kapitału. W instytucyach tych przyjmowane będą następujące kategorye ubezpieczeń: 1) Na wypadek śmierci, przyczem wypłata kapitału osobie wskazanej poprzednio przez zmarłego odbywa się natychmiast po zgonie członka. 2) Ubezpieczenie na pewien przeciąg czasu, z wypłacaniem kapitału natychmiast po śmierci ubezpieczonego. 3) Na dożycie, z wydaniem kapitału, jeżeli osoba ubezpieczona dożyje określonego wieku. Oto przykład: zawiadowca stacyi, 30-letni, chcąc zabezpieczyć sobie po latach 25 kapitał rs. 1,000, musi płacić rocznie rs. 18 kop. 50, albo miesięcznie rs. 1 kop. 63. Jeżeli dożyje 55 lat, może otrzymać kapitał. Jak widzimy, warunki są bardzo dogodne, bo urzędnik za sumę 462 rs. 50 kop. otrzymuje po 25 latach rs. 1,000. 4) Ubezpieczenie mieszane, polegające na tem, że kapitał wypłaca się w razie śmierci ubezpieczonego w przeciągu określonego czasu i w razie dożycia do pewnego terminu. Np. maszynista w 30 roku życia za coroczną premię 80 rs. 8 kop. po 25 latach może otrzymać kapitał 2,500 rs., jeżeli dożyje tego terminu; w razie zaś jego śmierci przed upływem lat 25, kapitał niezwłocznie wypłaca się wskazanej przez niego osobie lub okazicielowi polisy. 5) Ubezpieczenie dożywotniej pensyi wdowiej, którą wypłaca się żonie w razie śmierci męża. Ta postać asekuracyi jest dostępna szczególnie dla robotników kolejowych. 6) Ubezpieczenie pensyi sierotom po śmierci ojca do 18—25 lat życia. Ażeby dać pojęcie o tej kategoryi, uciekamy się znowu do przykładu. Nadkonduktor 40-letni może zapewnić, na wypadek swojej śmierci, dwom synom (3 i 6-letniemu) pensyę aż do 18 roku życia po 240 rs. rocznie. Ogólna składka miesięczna wyniesie za obu 3 rs. 84 kop. Są jeszcze inne rodzaje ubezpieczeń, jak np. zapewnienie dzieciom kapitału, który pomimo życia ojca otrzymują po dojściu do pewnego wieku.

Wracając do przepisów ogólnych, zaznaczamy, że maksymalna wysokość ubezpieczonego kapitału jest określona na początek do 10,000 rs. Największa zaś wysokość pensyi, ubezpieczonej na korzyść wdowy, 1,200 rs. rocznie, a dla dzieci 600 rs. Minimalnych sum ubezpieczonych kapitałów i pensyi nie oznaczono, dlatego, ażeby najmniej płatnym pracownikom dać możność ubezpieczeń, choćby drobnemi kwotami. Każdy członek ma prawo żądać wykupu ubezpieczenia, albo zmniejszenia sumy asekuracyjnej. Nawet w razie wyjścia ze służby można płacić premie w dalszym ciągu, jeżeli je płaciło się przedtem przynajmniej przez trzy lata.

Ważną jest dogodnością ten warunek, że osoba, opłacająca premie, ma prawo żądać pożyczki na polisę w wysokości nieprzechodzącej sumy wykupnej. Najwyższy procent wyniesie w takim razie 6%. Wszelkie kapitały z obrotów asekuracyjnych będą umieszczane w państwowych papierach procentowych lub w obligacyach przez rząd gwarantowanych. Z zysków, jakie przyniesie każdy rodzaj asekuracyi, 50% idzie na kapitał zapasowy, druga zaś połowa na korzyść osób, płacących premia. Na wydanych polisach nie wolno kłaść aresztu.

Powyższa organizacya ubezpieczeń wejdzie w życie z chwilą, gdy conajmniej 500 pracowników kolei rządowych oświadczy chęć zaasekurowania się.

Naszkicowaliśmy, chociaż pobieżnie, formy ubezpieczeń, jako organizacyi zupełnie nowej względem pracowników przedsiębiorstw komunikacyjnych, lecz opartej w znacznej mierze na znanych za-

---

rana do nocy męczy się w tajdze niedostępnej, gdy tymczasem zbrodniarz, który z rozmysłem wymordował całą rodzinę, popycha sobie wagoniki po szynach.

— Czyż my możemy posyłać doświadczanych do tajgi? Konwoju zabraknie; mało żołnierzy.

Czy taki porządek może wyrobić w skazańcach jakiekolwiek pojęcie o „sprawiedliwości" kary — pojęcie jedyne, które jako tako pogodziłoby przestępcę z uciążliwością kary dźwiganej.

— Jakaż tutaj sprawiedliwość?—mówią „poprawiani" — że kajdaniarz łotr, opryszek, więc za to żyje jak pan: wagoniki po szynach popycha. A żem ja cichy i pokorny, że mnie bez konwoju posyłać można, więc dlatego morduję się w tajdze. Cóż znaczy moje przestępstwo wobec jego?

Więzienie dla „poprawianych" jest najmniej więzieniem. Przedewszystkiem jest to dom noclegowy, brudny, wstrętny, okropny. Kiedym wszedł po raz pierwszy przed wieczorem do „numeru," gdzie siedzieli ściągacze berwion, drwale i wogóle oddani ciężkiej pracy, doznałem zawrotu głowy, niedobrze mi się zrobiło. Takie tam okropne powietrze!

Więźniowie przed chwilą wrócili z tajgi, gdzie pracowali po kolana w topniejącym śniegu. Szmaty do owijania nóg, „koty," „buszłaty" — wszystko było mokre. Leżeli spoceni w mokrej odzieży, na tapczanach. Kazałem jednemu zdjąć odzież i musiałem cofnąć się, tak strasznie cuchnął.

— Aleź ty gnijesz cały!

— Cóż robić! Gniję. Trudno już stąpać!

— Dlaczegóż nie rozbierzesz się i odzieży nie rozwiesisz i nie wysuszysz?

— Można tu rozwiesić! Powiesił oto Kuźma, zdrzemnął się i skradli mu.

— U nas niedługo na to trzeba czekać!— potwierdzili uśmiechnięci katorżnicy.

Można sobie wyobrazić, co się dzieje z tymi ludźmi, którzy po całych tygodniach nie zdejmują z siebie odzieży. Gdyby nawet który zechciał pewną czystość zachować, byłoby to próżne usiłowanie, gdyż tapczany są wspólne.

Wszelkie robactwo także jest wspólne. Gdym rozmawiał pewnego razu w więzieniu Onorskiem z aresztantem białobrowym i białorzęsym, inni katorżnicy ostrzegali mię:

— Panie, proszę mu kazać odsunąć się, bo z niego padają.

Czyż leżąc z takim na tapczanie wspólnym, można zachować czystość?

Tem się daje tłomaczyć owa „niepojęta," jak mówią inspektorowie więzień, chęć sypiania pod tapczanami.

— Nie chce leżeć na wierzchu; pod spód w błoto leziel

Lepiej już leżeć w błocie, niż obok takiego, którego opanowały pasorzyty.

Mówiło mi wielu katorżników, że z początku oni nawet jeść nie mogli.

— Niedobrze się robiło. Wszędzie pełzały... A i teraz schowam chleba kawałek; myślę sobie: „jak wrócę z roboty, to zjem." Biorę, a po nim pełzają. Tfu!

Za każdym razem, gdy mi się zdarzyło spędzić po kilka godzin w więzieniu, moja bielizna i ubranie były przepełnione robactwom. Ażeby dać pojęcie o tej strasznej nieczystości, powiem tylko, żem musiał wyrzucić ubranie, w którem chodziłem do więzienia i ostrzydz się przy skórze. Innych środków „walki" nie było! W takich warunkach żyją ludzie, dla których potrzebne są siły do pracy!

Po za przytułkiem noclegowym „wolne więzienie" jest domem gry. Grają tam od rana do nocy i od nocy do rana. W każdej chwili mogą założyć bank z kilkudziesięciu rubli. Grają na pieniądze i na rzeczy, na porcye chleba z kilku miesięcy, na ubranie skarbowe, które ma być kiedyś dane. Wszystko to można natychmiast realizować u lichwiarzy więziennych, czuwających w każdej chwili na miejscu. Grają tam katorżnicy z sobą, przychodzą także osiedleńcy, grają starcy i... dzieci. Przy mnie w derbińskiej dobroczynności więziennej, osiedleniec, który przyjechał sprzedać skarbowi kartofle, przegrał otrzymane pieniądze, wóz i konia. W więzieniu rykowskiem do inspektora przyszła lamentująca kobieta z osiedlenia:

— Posłałam malca do turmy chleba kupić, a oni, niegodziwcy, wciągnęli go do numeru i ograli.

— Proszę jej nie wierzyć, wielmożny panie! — tłomaczyła się katorga — ona sama posyła malca, żeby grał. Codzień do nas przychodzi. Jak wygra, to wtedy cicho; niech-no tylko przegra, to „zaciągnęli." Zaciągniesz go, a jakże!

Po bliższem zbadaniu okazało się, że to jest prawda...

sadach towarzystw asekuracyjnych, z tą różnicą, że warunki są o wiele przystępniejsze i pewniejsze. Warto, ażeby za przykładem kolei rządowych poszły prywatne, żeby wreszcie inne instytucye i przedsiębiorstwa zarobkodawcze pomyślały o podobnem ułatwieniu asekuracyi pracowników. Co do oficyalistów rolnych, widzimy tu i owdzie pewne próby, dzięki zabiegom sekcyi rolnej, chociaż, powiedzmy szczerze, zabiegi te nie są zbyt energiczne. Wreszcie śród wielu kategoryj oficyaliści żeglugi parowej (która przecież rozwija się z każdym rokiem coraz bardziej) mają niepewną i bardzo smutną przyszłość przed sobą, tem smutniejszą, że obecne warunki ich istnienia są nędzne, pomimo pracy uciążliwej. Wogóle wszelkie systemy asekuracyi niezbyt jeszcze u nas się zaszczepiły i rozwinęły. Dlatego chętnie i pospiesznie zaznaczamy fakt nowej organizacyi na kolejach rządowych, w nadziei, że przykład z życia będzie bodźcem skuteczniejszym, niż wszelka propaganda teoretyczna.

LISTY PETERSBURSKIE.

Przesądy polityczne i klęski materyalne. — Sprawa własności ziemskiej w oświetleniu *Peterb. Wied.* — Kategorye nabywców. Spożywcy zboża i kartofli. — Oświata, jako warunek rozwoju ekonomicznego.— „Robaczki świętojańskie" słońcem śród mas.— Środki wzmocnienia szkolnictwa ludowego.

Faktem jest, że sprawy, a raczej uprzedzenia i przesądy polityczno ściśle się łączą z bytom materyalnym szerokich mas ludności, że te uprzedzenia i obawy niejednokrotnie były przyczyną klęsk ekonomicznych, a w wielu wypadkach głównym powodem zastoju. Jednem z takich uprzedzeń jest silna opozycya pewnej grupy politykowców, z powodu projektu wprowadzenia ziemstw w prowincyach niezamieszkałych przez rdzenną ludność rosyjską. Sprawa upadku rolnictwa również ściśle się wiąże z temi uprzedzeniami. Zjawisko to scharakteryzował niedawno niejaki „Posymista" w *S. Peterb. Wied.* Zaznacza on wzmiankę, podaną przez gazety, że ministeryum spraw wewnętrznych wraz z ministeryum wojny oraz rolnictwa i dóbr państwa zajmie się w niedalekiej przyszłości wyjaśnieniem przyczyn kolonizacyi niemieckiej kresów zachodnich; przyczem główna uwaga ma być zwrócona na czynniki, towarzyszące wychodźctwu włościan rosyjskich z gubernij zachodnich.

Przy sposobności autor zwraca uwagę, że w guberniach wschodnich Królestwa Polskiego z ludnością mieszaną istnieją ograniczenia, które włościan miejscowych pozbawiają prawa nabywania ziemi. W art. 1-ym przepisów o działalności Banku włościańskiego, tudzież jego oddziałów w Królestwie Polskiem (*Zb. Pr.* 1889 r., str. 367) powiedziano, że z prawa nabywania gruntów za pośrednictwem Banku włościańskiego korzystają wszystkie osoby, bez różnicy płci, należące do ludności gmin i kolonij, posiadające ziemię lub bezrolne, jak również mieszczanie-rolnicy. Ale na podstawie „instrukcyi dla komisarzy włościańskich o wydawaniu świadectw na otrzymanie zapomóg z Banku," nie wolno nabywać ziemi włościanom i mieszczanom-rolnikom pochodzenia polskiego i litewskiego w miejscowościach zamieszkałych przez ludność rosyjską. Wyjątek możliwy jest tylko dla włościan miejscowych, korzystających ze służebności, którzy bez różnicy pochodzenia mogą przy pomocy Banku włościańskiego nabywać grunty, obarczone serwitutami.

„Ostatni warunek — mówi autor—prowadzi do tego, że dobrowolne umowy, dotyczące zamiany służebności, stały się niemożliwemi, gdyż włościanin Polak, wyrzekający się służebności, jasno uświadamia sobie, że tym sposobem pozbawia się prawa nabycia ziemi. Właściciele ziemscy, zmuszeni do sprzedaży części gruntów dla naprawy swych warunków, nie znalazłszy nabywców ze strony niewielkiej liczby uprzywilejowanych włościan, wyszukują korzystniejszych dla siebie, tj. kolonistów niemieckich, którzy płacą drożej i gotówką. Wynika rezultat wcale nieodpowiadający celowi. Zamiast wzmocnienia żywiołu rosyjskiego, kraj zaludnia się Niemcami, z którymi, ze względu na ich przewagę kulturalną i ekonomiczną, nie mogą walczyć ani Rosyanie, ani Polacy i Litwini. Niemiec, przyjąwszy dla niepoznaki poddaństwo rosyjskie, wcale nie jest skrępowany w swoim rozwoju narodowościowym, korzysta ze swobody w zakresie religii, oświaty i mienia, co sprzyja jego szybkiemu wzrastaniu i rozwojowi na nowym gruncie, podczas gdy mieszkańcy miejscowi, jedni ograniczeni w prawach obywatelskich, inni, chociaż uprzywilejowani, ale nieliczni, słabo rozwinięci, upadają pod przewagą mocnych przybyszów." Niemiec-kolonista posiada bydło piękne, tłuste, pola wybornie uprawne, dom z komfortem urządzony, szkołę, kościół, kasę oszczędności, książki, różne *vereiny*, odpowiadające wszelkim potrzebom życia. Włościan miejscowych krępuje nędza, ciemnota i niezaradność.

Przechodząc od stosunków gubernij północno i południowo-zachodnich, autor widzi mniej więcej to samo. Także ograniczenia prawa nabywania ziemi, zastosowane do posiadaczów katolików, a poniekąd i do włościan tegoż wyznania (ponieważ ostatni, nawet gdy się okażą prawomyślnymi, mogą nabywać tylko pewne *maximum* ziemi na jedną rodzinę) i prawosławnych, którzy według świadectw policyjnych, uchodzą za niepewnych, uciążliwa procedura zabiegów i podań do różnych instancyj w sprawie pozyskania świadectwa na kupno ziemi wszystko to zmniejsza liczbę nabywców miejscowych i ułatwia napływ postronnych, niewspółdziałających bardzo rozwojowi sprawy rosyjskiej. Któż są ci obcy nabywcy? Prawdziwie rosyjskich właścicieli ziemskich z gubernij wewnętrznych, w których rękach ziemia mogłaby się stać środkiem do utrwalenia własności rosyjskiej, nie spotykamy wcale. Dlaczego — nie trudno wiedzieć. Większość nabywców, to urzędnicy, dymisyonowani wojskowi,

---

„Poprawiani" mogą wychodzić z więzienia w ciągu dnia swobodnie. Muszą tylko wykonać zadaną „lekcyę" i przyjść wieczorem na przegląd.

Po za tem przez cały czas mogą robić co im się podoba. Również mogą swobodnie wchodzić do więzienia i wychodzić stamtąd ludzie obcy; ułatwia to sprzedaż rzeczy skradzionych. Około „więzienia poprawczego" zawsze gromadzi się kilkudziesięciu osiedleńców, przeważnie Tatarów. Wszystko to są lichwiarze, nabywcy rzeczy skradzionych.

Trzecią rolą „wolnego więzienia" jest dawać przytułek bezdomnym i nawet zbiegom. Tak również scharakteryzował wolne więzienia sachalińskie przybyły w celach rewizyi generał Grodekow.

Trzeba oddać sprawiedliwość, iż mieszkańcy więzienia z wielką litością traktują dolę „osiedleńców." Przecież „osiedlenie," to przyszłość „katorżnika." Przyszedłszy podczas obiadu do „wolnego więzienia," można prawie zawsze zastać tam żywiących się osiedleńców. Chleba katorżnicy im nie dają.

— Dla nas nie wystarcza!

Ale za to połowki, „bałandy," którą katorga sprzedaje po 5 kop. za wiadro na karm dla świń, mogą dostać, ile zechcą. Tym sposobem w latach głodu i braku pracy zarobkowej więzienie wolne karmi nieraz po 200 osiedleńców. Otrzymują tam także nocleg osiedleńcy bezdomni, którzy przyszli „z głodu" z dalszych okolic i nie mają gdzie głowy przytulić.

Przychodzą oni przed wieczorem, wsuwają się pod tapczany i tam śpią do rana. Jest coś głęboko wzruszającego w tem miłosierdziu, okazywanem przez nędzarzy nędzarzom. Ileż razy myśl o tem pokrzepiała mię, w tych ciężkich chwilach, gdy obydne czyny katorgi kazały mi twierdzić w duchu, że jest ona tylko „stekiem łotrów." Nie, nawet w turmie, w tej obrzydliwej kloace, żyje „człowiek!"

„Więzienie wolne" jest czasem przytułkiem dla zbiegów-katorżników z innych okręgów. Tak np. postrach Sachalinu, Szyrokołobow, który zerwał się z łańcucha przy taczce i uciekł z Aleksandrowskiej turmy kajdanowej, za którego pojmanie obiecano 100 rubli, ten nieopochwytny Szyrokołobow, za którym w pościgu posyłano całe oddziały i przebranych agentów-dozorców, ten sam Szyrokołobow spokojnie ukrywał się przez całą zimę w więzieniu rykowskiem.

— I otrzymywał porcyę rządową! Co za bestya! — wołali naczelnicy okręgu i inspektor więzienia.

— Jakimże to sposobem być mogło!

— Bardzo zwyczajnie. Z twarzy go nie znamy, a katorga, rozumie się, nie wyda. Tak więc przebył całą zimę. Gdy zaś pocieplało, umknął i „broi." Cóż z nim począć?

Wogóle swoboda w więzieniach wolnych jest wielka.

Chciałem odszukać aresztanta P., znanego przestępcę. Pytam inspektora:

— W młynie pracuje.

Idę do młyna:

— Niema.

Idę powtórnie — „niema," po raz trzeci „niema." Chodziłem o 6-ej z rana. Ciągle „niema." Przez ten czas katorga zdążyła ze mną poznać się bliżej, korzystałem już z jej zaufania. Wtedy powiedziano mi w młynie:

— Ależ on, panie, tutaj nigdy nie bywa.

Podstawił innego. Najął za półtora rubla miesięcznie, a sam ciągle jest w więzieniu. Prowadzi tam interes. Jest „majdańszczykiem" (utrzymującym bufet i stół więzienny), jest także i „ojcem" (lichwiarzem).

Popatrzyłem przez ciekawość na „sacharnika" (człowiek, który najmuje się za innego dźwigać katorgę). Człowiek, wzbudzający litość, skazany na cztery lata za morderstwo w bójce, popełnione pod wpływem pijaństwa w gałówkę. Do godziny 1-ej pracuje w młynie za innego, następnie zaś do wieczora wypełnia swoją „lekcyę." Zaledwie dusza w nim kołacze! A dźwiga dwie katorgi!

Fakty takie na Sachalinie nietylko nie należą do rzadkich, ale są zwyczajne, powszednie. Człowiek, który obarzony alkoholem wpadł w nieszczęście, dźwiga dwie katorgi. Zbrodniarz zaś z zawodu, jeden ze „znakomitych" zabójców, chodzi sobie, spędza czas na próżniactwie, obdziera katorgę, wzbogaca się jej kosztem.

Półtora rubla na Sachalinie, to więcej, niż w Rosyi piętnaście.

Takie są zwyczaje więzienia poprawczego.

(C. d. n.).

pedagogowie, indziej, szukający sposobności kupna majątku na licytacyi, za dług skarbowy lub bankowy, nie posiadający ani funduszów dostatecznych, ani zamiłowania, ani doświadczenia rolniczego, a więc nie mogą się oni troszczyć bardzo o losy dóbr, łatwo nabytych. Wyzyskują najpierw lasy, następnie pozycye czynszowe, poczem wypuszczają w dzierżawę dobra wyczerpane i powracają do życia miejskiego. Tacy nowi właściciele ziemscy pozornie tylko wnoszą do kraju żywioł rosyjski. Gdy zaś dojdzie do sporów gruntowych z włościanami, poprzedni obrońcy uciśnionego chłopa rosyjskiego przedzierzgają się w bezlitośnych obrońców prawa własności, od których włościanie białorusey doznają nieraz więcej przykrości, niż niegdyś od dawnego pana."

Następnie autor widzi w liczbie nabywców sporo „osób podstawionych," za których plecami działają Żydzi i inni aferzyści. Tym sposobem ziemia przejdzie przez dziesięć rąk, zanim się nareszcie dostanie włościaninowi, ale już wyniszczona, wyssana ze swych bogactw naturalnych.

Ową charakterystyką autor stwierdził znaną oddawna prawdę, że polityka wewnętrzna nie może iść w parze z potrzebami ekonomicznemi mas ludności, że przeciwnie, jest z niemi w rozterce. Wpływ zaś tej polityki oczywiście nie jest terytoryalny, dziś, gdy stosunki przemysłowe i handlowe tworzą łańcuch nieprzerwany; że gdy się uderza w jedno lub dwa ogniwa, wstrząśnienia dają się odczuwać w tym całym łańcuchu.

Wszelkie hamulce, niemoralności i omyłki dają się odczuwać w dobie dzisiejszej, gdy przesilenia i niedomagania rolne przybrały znaczne rozmiary na różnych terytoryach państwa. Pewne światło na owe stosunki rzucają wskazówki i dane prof. Janżulła. Z faktów porównawczych, zebranych przez niego, widzimy, że się ogromnie zwiększyło spożycie zboża we wszystkich krajach: w Anglii, Francyi, Austryi, Skandynawii, Belgii, Niemczech itd. Jedynie tylko w Rosyi i Turcyi widzimy zmniejszenie się spożycia pszenicy i żyta. Obok tego jednocześnie charakterystyczny jest w Rosyi wzrost konsumcyi kartofli, gdy w całej Europie coraz bardziej zmniejsza się spożycie tego produktu. Do r. 1880 w państwie rosyjskiem spożycie zboża spadło o 17% niżej niezbędnego *minimum*, do roku zaś 1895 — o 30% w porównaniu z normą niezbędną. Ponieważ w ciągu ostatnich lat 15 ludność w Rosyi nie zmiejszyła się, lecz wzrosła z 84,5 milionów do 110 mil., więc spadek spożycia jest jeszcze większy. Można sobie wyobrazić, jak skutkiem tego cierpi produkcyjność ogólna ludności, głodzącej się stale.

Zbytecznem byłoby powtarzać starą i powszechnie stwierdzoną prawdę, że jednym z najważniejszych warunków naprawy bytu i podniesienia produkcyjności ogólnej, jest oświata. O jej brakach pisaliśmy niejednokrotnie. Dają się one spostrzegać nietylko w organizacyi oświaty całych mas ludu ciemnego, lecz i wogóle w całym systemie wychowawczo-szkolnym. Na jedną z tysiącznych takich wad, mianowicie niestosowność niektórych podręczników szkolnych, zwróciła uwagę prasa rosyjska. Między innemi *Birż. Wied.* zaznaczają, że w sierpniu r. 1896 wyszła książka do czytania dla szkół ludowych w guberniach północno-zachodnich. Składa się ona z trzech części, opracowanych przez pp. Odincowa i Bogojawlewskiego. Jeszcze przed ukazaniem się jej w handlu księgarskim rozesłano cyrkularz, zalecający, ażeby usunięto ze szkół używane dotychczas podręczniki, a wprowadzono ten nowy. Opracowano go, jak wiele innych zlepków tego rodzaju. Obce myśli, zdania, ustępy, zszyto nitkami własnemi. Ażeby dać pojęcie o nowych metodach plastyki pedagogicznej, cytujemy tu dowodzenia, dlaczego ziemia jest okrągła: „Gdyby ona była płaską, jak deska, to nie można byłoby obejść jej dokoła: przez brzeg, przez kant nie można byłoby przejść. A gdyby ona miała postać kłody czworokątnej, także obejść niepodobna, kątów nie można byłoby minąć. A więc ziemia nasza jest okrągła i dlatego nazywa się kulą. Że słońce jest kulą, to każdy widzi. Nie pali się ono dlatego, żeby nie spłonęło, jak wszystko, co się pali. Podobne ono jest do robaczka świętojańskiego: chociaż w nim nie się nie pali, ale w noc letnią ciało jego świeci się bardzo wyraźnem światłem." Już ten jeden ustęp daje wyborne pojęcie o wartości podręcznika. Ale nie na tem koniec. Książka, przeznaczona do czytania dla dziatwy w szkołach początkowych, ma jeszcze na celu zasianie w tych główkach dążności i celów politycznych. Między innemi autorowie starają się przekonać swych małych czytelników, że katolicyzm jest „bezmyślnością." To się nazywa metoda pedagogiczna! Jakie jej mogą być wyniki, każdy osądzi. Książkę tę powitali z oburzeniem nawet... przeciwnicy katolicyzmu. A jednak autorów-robaczków świętojańskich, którzy chcą być słońcem dla mas, jest sporo. Rzucają oni takie promienie śród mas, jak robaczki świętojańskie w noc letnią.

Na ten rodzaj spekulacyi, tworzenie coraz nowych podręczników szkolnych, tandety najlichszego gatunku, zwróciło już uwagę ministeryum oświaty i prawdopodobnie zarządzi środki oczyszczenia szkół z tych śmieci, obarczających niepotrzebnie głowy dziatwy i wyczerpujących kieszenie jej rodziców. Dzięki dotychczasowej bezkarności, podręczniki szkolne tak szybko się zmieniają, jak fasony kapeluszów damskich.

Prasa rosyjska położyła w ostatnich czasach nacisk na potrzebę wzmocnienia szkolnictwa ludowego. Między innemi *Niedieła*, zaznaczając, że państwo nie ma dostatecznych środków na cele tego rodzaju, proponuje wyszukanie innych dróg i źródeł: „Gdyby do budżetu państwa wprowadzono nową, stałą pozycyę: „utrzymanie i pomnożenie szkół wiejskich," byłby to krok bardzo ważny i pożyteczny. Tej pozycyi dotąd nie stworzono, należałoby więc poczynić odpowiednie zabiegi. Ale, naszem zdaniem, nie będzie to jeszcze środek wystarczający. Oprócz bowiem wyjednania stałych sum na tworzenie i wzmacnianie szkół, należałoby jeszcze przyjąć i utrwalić metody skutecznego szerzenia oświaty. Wiele wskazówek z życia dałaby pod tym względem zagranica. Weźmy np. Francyę, gdzie nauczanie ludu stale robi znaczne postępy. Ministeryum oświaty jest tam nadzwyczaj czujne, wnika we wszelkie najdrobniejsze potrzeby ludności. Przy tej instytucyi sterniczej istnieje tak zwana zwierzchnicza rada szkolna, w której skład wchodzi 57 członków, wybieranych z grona doświadczonych i światłych pedagogów. Rada owa (*conseil supérieur de l'instruction publique*) posiada głównych inspektorów do wszelkich gałęzi oświaty: technicznej, rolnej itd. Cała Francya i Algier pod względem nauczania dzieli się na 17 akademij, z których każda zarządza szkołami 5—6 departamentów. Taki system i podział czynności ułatwia ocenę potrzeb oświaty w kraju. Ludzie doświadczeni i obeznani z temi potrzebami mają wstęp do instytucyi sterniczej, a więc swoją znajomością rzeczy ułatwiają pracę prawdziwie płodną.

Paweł Krzyżanowski.

NA STARY TEMAT.

II.

Obrońcy klasycyzmu upewniają, że wzory starożytne wyrabiają smak, poczucie piękna śród młodzieży. Więc dla wyrobienia smaku musi ona nieraz dziesięć lat życia poświęcać; to już chyba marnotrawstwo sił umysłowych! I cóż zrosztą wart ten „smak," kiedy poglądy na piękno zmieniają się ogromnie szybko, z każdem stuleciem, a nieraz i prędzej.

Nie należy zbyt nizko cenić znaczenia, jakie dla pogłębienia znajomości mowy ojczystej mają studya nad innymi językami. Lecz nie można bynajmniej twierdzić, że tylko łacina i grecki, jako bardzo różniące się od języków nowożytnych, mogą być w danym przypadku pożyteczne. Bo w takim razie należałoby również uczyć się chińskiego, w którym nietylko etymologia i składnia, lecz już sam alfabet stanowi dla nas zagadkę. Bez wątpienia jest bardzo przyjemnie mieć możność dokładnie przełożyć każdą myśl, wyrażoną po łacinie lub po grecku, na język ojczysty. Lecz wymagać od każdego wykształconego człowieka, aby z wielkim nakładem pracy i trudu doszedł do tej doskonałości, jest co najmniej nierozsądnem. Odcyfrowanie jakiegoś napisu starożytnego może posiadać donioslość ogromną, tak wielką, jak odkrycie przyrodnicze; ale to jeszcze nie upoważnia do kształcenia w odpowiednim dla takich badań kierunku wszystkich bez wyjątku, nawet i takich, którzy do tego żadnego pociągu i żadnej ochoty nie mają. Jeśli zaś chodzi o bardzo pożyteczną znajomość językoznawstwa porównawczego, to do tego celu daleko lepiej się nadaje nauka języków pokrewnych, nowożytnych.

Najważniejszy skutek, jaki przy obecnym systemie pociąga za sobą nauczanie języków starożytnych, jest ten, że dzięki ich bardzo skomplikowanej gramatyce uczeń przy robieniu przekładów ćwiczy swą uwagę, uczy się logicznie myśleć i wyrabia sobie własny sąd o rzeczy. Lecz chyba nikt nie zaprzeczy, że każda inna nauka, a matematyka i nauki przyrodnicze w najwyższym stopniu pod tym względem są pożyteczne. System klasyczny już się przeżył; czas mu na spoczynek, bo, doprawdy, złośliwie powiedzieć można, że „nasze gimnazya wychowują dorosłych ludzi, którzy mogą mówić i pisać, lecz niestety niewiele mają do powiedzenia."

W dalszym ciągu gromadzi Mach argumenty, jakie przemawiają na korzyść wychowawczego znaczenia nauk fizyko-matematycznych. Więc tłomaczy, jak obserwacye przyrodnicze rozwijają w uczniu uwagę, a rozwiązywanie zagadnień matematycznych—logikę myślenia, jak wreszcie znajomość natury wpływa na ogólne pogłębienie i rozwój umysłu. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że Mach pragnie zupełnie wyrugować ze szkoły wiedzę klasyczno-filologiczną. Jest on tylko przeciwny obciążaniu mózgów zbytecznym balastem, lekceważeniu wiedzy przyrodniczej, słowem, przeciwny wszelkiej jednostronności w wychowaniu szkolnem. W swoim projekcie reformy, jaki podaje na końcu odczytu, idąc za przykładem szkół skandynawskich a również i t. zw. „Gelehrtenschulen" duńskich, zaleca równomierny, niezbyt obszerny wykład nauk klasycznych i przyrodniczych w klasach niższych, oraz podział na specyalności — w wyższych. Wyższe mają za zadanie przygotować odpowiednio przyszłych słuchaczów uniwersyteckich (*nb.* coś w tym rodzaju, o ile wiemy, istnieje w kolegiach i liceach francuskich). W niższych wykład

nie powinien polegać jedynie na nadziewaniu głów możliwie dużą ilością wiadomości i faktów, lecz również na zaznajamianiu uczniów z historyą rozwoju odkryć i pojęć naukowych. W tym celu radzi profesor wiedeński czytać z uczniami, tłomaczyć im i objaśniać za pomocą doświadczeń wyjątki z klasycznych dzieł naukowych, jak Newtona, Galileusza, Huyghensa i in.

Czem się jednak dzieje, że każda reforma na tem polu, szczególnie w szerszym zakresie, jest tak trudną do przeprowadzenia? Czemu klasycyzm ostał się w szkole aż do naszych czasów pomimo ogólnego niezadowolenia? Mach tłomaczy to okolicznością, że kierowanie oświatą znajduje się przeważnie w rękach filologów, prawników i teologów, oni również zajmują większość miejsc w parlamentach europejskich. Cóż więc dziwnego, że otrzymawszy sami wykształcenie filologiczne, które bezwątpienia im wiele korzyści przyniosło, starają się utrzymać nadal tak dla nich pożyteczny system, zapominając jednocześnie o tem, że świat nie tylko z nich się składa. Przyczyna ta niewątpliwie ma znaczenie, lecz, podług nas, nie jest ona jedyną. Działa tu także prawdopodobnie i przyzwyczajenie wiekowe, ta „altera natura“ ludzka, z którego się trudno otrząsnąć. A oprócz tego — nie lubimy się przyznawać do popełnianych błędów. Wyznać, żeśmy się pomylili, zazwyczaj bywa bardzo przykro; cóż więc dopiero, gdy chodzi o błąd, który popełniany był przez wieki całe! Więc lepiej trzymać rękami i zębami stary system, byle tylko nie być zmuszonym do wykrzyknięcia tego przykrego „ergo erravi!“

Jak widać z treści odczytu, Mach jest wyraźnym przeciwnikiem dzisiejszego wykształcenia szkolnego. Omal nie dodaliśmy: „jak wszyscy zresztą uczeni współcześni.“ Na szczęście przypomnieliśmy sobie w porę pewien znamienny i smutny fakt. Przed paru laty zwróciło się francuskie ministeryum oświaty do profesorów wydziału medycznego w Paryżu z zapytaniem: czy nie uznają oni za możliwe otworzenie podwoi ich fakultetu wychowańcom szkół realnych i — otrzymało od nich, przyrodników z wykształcenia, odpowiedź odmowną. Miejmy, wraz z Machem, nadzieję, że liczba tych panów szybko się zmniejszy.

Przyjrzyjmy się teraz, jak wygląda ta sama kwestya na gruncie naszym. Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że u nas system klasycyzmu wydaje jak najlepsze rezultaty. W samej rzeczy, jak już nieraz mieliśmy sposobność słyszeć z ust pedagogów zawodowych, oraz sądząc poniekąd z własnego niewielkiego doświadczenia, poziom umysłowy przeciętnego ucznia gimnazyum filologicznego jest prawie zawsze wyższy, niż „realisty“ (pod „przeciętnym“ rozumiem tu ucznia, który nie świeci między prymusami, lecz również nie powiększa liczby stałych mieszkańców t. zw. „kamczatek,“ „oślich ławek“ itd.). Lecz ów dobroczynny wpływ klasycyzmu jest tylko pozorny, w rzeczywistości zaś działają tu inne czynniki. Przedewszystkiem z powodu ogromnego napływu kandydatów do gimnazyów klasycznych, dostają się do nich przeważnie jednostki zdolniejsze, którym łatwiej było zwyciężyć na egzaminach. Część odrzuconych wstępuje do szkół realnych; tam też udają się ci, o których rodzice przypuszczają, że nie będą w stanie dać sobie rady z gramatyką łacińską i grecką. Prawda, do gimnazyów realnych często idą chłopcy, którzy wykazują szczególne zdolności i zamiłowanie do arytmetyki. Lecz jak rzadko i trudno w 8—9-letnim malcu odkryć takie specyalne zdolności! Już więc przez działanie pewnego „doboru“ w gimnazyach filologicznych mamy większą ilość jednostek zdolniejszych. Lecz to jeszcze nie wszystko. Powszechnie utarło się przekonanie, że posada nauczyciela szkoły realnej jest niższą, niż profesora gimnazyum. Dzięki temu wybór sił pedagogicznych w tych ostatnich bywa zazwyczaj lepszym, co znów nie pozostaje bez wpływu na postępy uczniów.

Aby nauki matematyczno-przyrodnicze mogły wywrzeć swój wpływ kształcący na umysły uczniów, koniecznem jest, aby system nauczania był odpowiedni. Jak on jednak wygląda w gimnazyach realnych? Wykład matematyki jest prawie ten sam, co i w klasycznych (z wyjątkiem kursu klasy siódmej, dodatkowej). Cała znajomość chemii sprowadza się do paru kartek dodatkowych w elementarnym podręczniku fizyki. A nauki przyrodnicze? Parę suchotniczych podręczników, których większą część zajmuje sucha, nudna, bynajmniej na rozwój umysłu ucznia niewpływająca systematyka. Fizyologia i anatomia roślin i zwierząt niewiele czasu zabierają na wykładach; o jakimś szerszym, głębszym, filozoficznym poglądzie na przyrodę mowy niema, jak również — o historycznym rozwoju wiedzy. Co więc z tego wszystkiego pozostaje w umyśle ucznia po wyjściu ze szkoły? Trochę nazw gatunków i rodzajów, kilka szczegółów w rodzaju np. budowy zębów u gryzoniów, ryja u gruboskórych itd. A to chyba niewiele...

Tymczasem zaś klasycyzm po dawnemu dumnie panuje w szkołach i on tylko otwiera żądnym wiedzy podwoje uniwersytetu. Jak dawniej traci młodzież długi szereg lat mozolnej pracy na „wkuwaniu“ w siebie rozmaitych deklinacyj, koniugacyj, kruczków syntaktycznych itd., o których zapomina w rok po ukończeniu szkoły, o ile nie zmuszają jej do pamiętania szczegółów gramatyki łacińskiej i greckiej korepetycye. Przed kilku laty zaprowadzono pewną zmianę w wykładzie języków klasycznych. W klasie szóstej miał być ukończony kurs gramatyki i tłomaczeń z rosyjskiego na łacinę i grecki, klasy zaś siódma i ósma zostały poświęcone czytaniu autorów i nauce starożytności klasycznych. Reforma w teoryi bardzo dobra, w praktyce jednak wywołała niewiele skutków pożądanych. Nauka gramatyki musi być prowadzona bardziej intensywnie ze względu na krótszy przeciąg czasu jej poświęcony, czytanie zaś autorów niewiele zyskało na tem. Jeszcze jedna pieśń Homera, jeszcze kilka stronic Liwiusza i ód Horacego — oto cały rezultat. Jak i dawniej większość autorów klasycznych uczniom gimnazyów znaną jest tylko z nazwiska. A starożytności grecko-rzymskie? Dzieje literatury i sztuki starożytnej dla wychowańców gimnazyów filologicznych pozostają po dawnemu jedną wielką *tabula rasa*, jak również wewnętrzne duchowe życie Greków i Rzymian. Cała nauka starożytności sprowadza się znów do „wkuwania“ słów—nazw sprzętów domowych, dziesięciu gatunków broni, używanej przez hoplitów greckich lub kawalerzystów rzymskich itp. Czy takie „kucie“ słów, martwych form, nieoblekających żadnego żywego ciała, może korzystnie wpłynąć na rozwój umysłu ucznia? *).

Podobno obecnie w ministeryum oświaty zasiada komisya, mająca zająć się zreformowaniem średnich zakładów naukowych.

*) Według naszego przekonania, wiedza ludzka zbogaca się tylko poznaniem *rzeczy*, a nie ich nazw— *wyrazów*. Nauka zatem języków, zarówno starych, jak nowych, o ile nie jest specyalnością badawczą, może być co najwyżej tylko złem koniecznem, któremu zwłaszcza ulegać muszą narody upośledzone w kulturze i znaczeniu politycznem. Dlatego to Niemcy, którzy mało uczą się języków obcych, Francuzi i Anglicy, którzy nie uczą się ich prawie wcale, posiadają najwyższy rozwój umysłowy. *Red.*

M. Mutermilch.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Samorząd miejski.

Sprawa samorządu miast w Królestwie Polskiem, czy też Warszawy, będąca rodzajem węża morskiego, którego jedna część prasy ciągle widzi i opisuje, a druga uważa za twór wyobraźni, rozpięta została znowu na krosnach dziennikarskich. Pobudkę do tej roboty Penelopy dał korespondent *Now. Wr.*, p. Engelhardt, ogłosiwszy rozmowę z gen. Starynkiewiczem, który ze swej strony dopełnił ją w *Warsz. Dniewniku*. Głos rozumnego i zacnego człowieka, a przytem doświadczonego gospodarza Warszawy, jakim jest gen. Starynkiewicz, zasługuje na poznanie.

Przedewszystkiem obala on zarzut, oparty na kilku przykładach, jakoby miasta, zawiadywane przez magistraty (Warszawa) miały lepsze urządzenia, niż zostające pod kierownictwem władz wybieralnych (Kijów, Odesa), a obala go faktem, że kanalizacya i wodociągi warszawskie były podjęte i wykonane właśnie z zupełnem pominięciem zwykłej drogi postępowania magistrackiego. Gdyby się trzymano tej drogi, byłyby one albo niewprowadzone, albo liche. Ze szczególną siłą uderza gen. S. na praktykowany dotychczas system licytacyi. „Rząd — powiada on — bojąc się konieczności śledzenia każdego kroku, wymaga, aby każda dostawa, każde przedsiębiorstwo oddawane były przez licytacyę publiczną tym, którzy zadeklarują cenę najniższą. Na początek zatwierdzają się warunki, zapewniające regularność dostawy, naturalnie — na papierze. Za dotrzymanie warunków w praktyce odpowiada niższy agent rządu i jego zwierzchnik. Pierwszy, rzadko kiedy bardzo zdolny i bardzo gorliwy, przy wielkiej zręczności dostawcy łatwo może być oszukany; przytem pracę jego opłaca się tak, że nie posiada on dostatecznych środków do życia; kontrolującemu zaś zwierzchnikowi potrzebne są, dla wykrycia nadużyć, prócz takiej bystrości, jaka nie często się spotyka, także siły i czas, zwykle nader ograniczone. Zrozumiałem jest też niebezpieczeństwo dopuszczenia do współudziału w jakiejkolwiek sprawie ludzi, kierujących się tylko chęcią zysku i sprytnych oszustów; dlatego też system licytacyj publicznych i dostaw *nie wszędzie jest stosowany*. Czy można np. wyobrazić sobie, aby ktoś, budując sobie dom, nie w celu natychmiastowej sprzedaży, lecz w celu wieloletniego posiadania i mieszkania w nim, powierzał roboty i dostawy cegły, drzewa, żelaza i innych materyałów wyłącznie i koniecznie tym, którzy zaofiarują mu cenę najniższą? Wstyd mi nawet pisać o takich elementarnych rzeczach; ale cóż robić, jeśli poruszona kwestya zmusza do tego! Kiedy podczas mojej prezydentury przy licytacyach ofiarowano niezwykle niskie ceny, zawsze byłom przekonany, że będą nadużycia; lecz ani mnie, ani moim najbliższym pomocnikom prawie nigdy nie udawało się wykryć ich zawczasu, albo też tak, aby mogły być sądownie udowodnione. Przytaczam jeden przykład: W licytacyi na dostawę skór na obuwie dla policyi nigdy nie brali udziału miejscowi właściciele garbarni, gdyż, jak sami mówili, podawano ceny dla nich niemożliwie niskie; prywatnie dowiedziano się, że policyanci nigdy nie noszą obuwia z dostarczonego so-

bie towaru, lecz oddają go dostawcy za 75% ceny i nabywają sobie inny, przyczem nie ponoszą wielkich strat dlatego tylko, że towar, na mocy przepisów, daje się im w większej ilości, niż potrzeba. Chociaż zawiadomiono o tem władzę, nie udało się jednak usunąć nadużycia i wszelkie środki zredukowały się do formalnego wzmocnienia kontroli przy odbiorze. Niedawno, jak słyszałem, odbywała się taka licytacya na dostawę siana, że pud jego kosztuje zaledwie 13 kop. Z dwóch możliwych wniosków, że albo dostawca będzie ponosił straty, albo zwierzęta będą skazane na głód, nikt zapewne nie uzna za prawdopodobne pierwszego; tymczasem niema *prawnego* powodu do niezatwierdzenia licytacyi. Mogą mi zarzucić, że stwierdzam tylko ujemne strony przepisów o dostawach i antrepryzach; ale należy wziąć również pod uwagę, że przy opiece, przy centralizacyi władz, nieuniknione są ciężkie formalności, utrudniające i po większej części niedostatecznie zabezpieczające akuratność w prowadzeniu interesów, a czasami nawet dające powód do nadużyć i nastręczające środki do pokrycia tychże. Kto tego nie wie i czy można o to prowadzić spór? I kto może być bardziej kompetentny w wyszukiwaniu lepszych środków do zaspokojenia potrzeb, niż sam potrzebujący, jeśli tylko nie jest dzieckiem? Wątpić można o dojrzałości całych mas ludności miast; ostrożność, być może, wymaga wątpliwości; nie powinna ona wszakże zachodzić zbyt daleko, w sfery nieokreślone, gdyż wątpliwość tamuje wszelką pracę; nigdy nie daje siły, jak również nie świadczy o sile.“

Uwagi te nie przekonały całkowicie *Warsz. Dniewnika*, który usiłuje osłabić je dowodem, że Warszawa pod względem gospodarki jest przedmiotem zazdrości innych miast, pomimo że nią rządzi magistrat.

Nie wchodząc w szczegóły tego sporu, zaznaczymy, że on toczy się o rzecz dawno przesądzoną. Rozmaite sposoby zarządu miast wypróbowane zostały nietylko w Kijowie, Odesie i Warszawie, nawet nie na obszarze państwa rosyjskiego, ale na całej przestrzeni świata cywilizowanego i wszędzie z jednakowym skutkiem. Kwestya więc: czy lepszy jest system magistracki, czy samorząd, równa się kwestyi: czy lepsze są żaglowce, czy parowce? *Warsz. Dniewnik* oświadcza się za pierwszymi, bo na drugich czasem—kotły pękają.

Świeża zbrodnia.

Trudno nie nadać miana zbrodni czynowi, który dla zysku świadomie naraża życie wielu ludzi i często rzeczywiście sprowadza na nich śmierć lub kalectwo. A takim właśnie czynem jest budowanie domu z materyałów lichych i sposobami fuszerki w widokach spekulacyi. Znowu zawaliła się świeżo wzniesiona czteropiętrowa kamienica przy ulicy Nowowiejskiej. Z pod gruzów wydobyto: jednego robotnika z ciężko zranioną głową, uszkodzonym kręgosłupem i niebezpiecznem potłuczeniem całego ciała, drugiego — ze zgniecionym bokiem i ręką. Analiza wypadku jest znana i prosta: spekulant ulepił tandetę, do czego mu dopomogli czynnie lub biernie budowniczowie i majstrowie. Warto poznać te nazwiska: budowniczym dozorującym był p. Szretter, prowadzącym roboty p. Janiszewski, majstrem mularskim p. Krasuski. *Kuryer Codzienny* zaznacza przytem, że kamienica, która niedawno zawaliła się na Nowej Pradze, była również budowana przez p. Janiszewskiego. A więc mamy dwa ogniwa jednego łańcucha systematycznej fuszerki. Dodać winniśmy, że, jak nas zapewniają osoby wtajemniczone w ten rodzaj spekulacyi, są w Warszawie budowniczowie, którzy prowadzą jednocześnie 60 takich „fabryk,“ gdyby więc każdy z nich chciał poświęcić tylko pół godziny dziennie jednej, musiałby, nie licząc czasu na przejazdy, mieć 30 godzin na dobę.

Przecież już czas położyć jakąś skuteczną tamę temu występkowi.

Opodatkowanie totalizatora.

Ciekawy widok przedstawiają nieraz mozolne wysiłki naszych furmanów społecznych zaprzężenia do jednego wozu filantropijnego moralności z niemoralnością. Podobno wszyscy się na to godzą, że małe Monte Carlo, założone na polu Mokotowskiem pod nazwą totalizatora, jest pompką ssącą złe namiętności. Ale ta pompka, przynosząca wielkie zyski Towarzystwu wyścigów konnych, nie chce usunąć się dobrowolnie, więc czyby nie należało podstawić pod nią garnuszka dobroczynnego? Z takim projektem wystąpił przed kilku laty dr. Wszebor, a obecnie opiekunowie naszej biedy, żądający opodatkowania totalizatora 10% od dochodu na rzecz instytucyj dla ubogich. Naturalnie zapytano w tej sprawie Towarzystwo wyścigów konnych nie zgodziło się na ofiarę, twierdząc, że totalizator dostarcza mu środków na podnoszenie hodowli w kraju (to znaczy: na wyścigi, związaną z nimi grę itd.). Czem się skończą zaloty do ponętnego źródła, nie wiemy, wolelibyśmy jednak, ażeby Towarzystwo odparło zwycięzko zamach na jego kasę pobocznych zarobków. Bo gdyby totalizator opłacał się dobroczynności, uzyskałby tym sposobem *tytuł* i pozory instytucyi, służącej pożytkowi społecznemu, czem łudzić i osłaniać swej istoty nie powinien. W dotychczasowym charakterze pozostanie przynajmniej urządzeniem wyraźnie szkodliwem, jak wszelki przybytek gry hazardowej, ciągnący zyski z niezdrowych namiętności ludzkich. Gdyby filantropia publiczna raz weszła na śliską i spadzistą drogę korzystania z podatku od mętnych zarobów, mogłaby zajść do bardzo niebezpiecznych i niezgodnych z jej celami stosunków i darów. Daleko większą korzyść moralną i materyalną odniosłoby społeczeństwo ze zniesienia totalizatora, niż z jego ofiar.

Trojaki.

Jeden z księży wypowiedział w *Wieku* surową naganę *Kuryerom* za to, że nie ostrzegły w porę ogółu o wycofaniu z obiegu starych trzygroszniaków, skutkiem czego wiele tej monety pozostało w rękach biednej ludności, narażając ją na dotkliwe straty. Adres tego napomnienia wydaje nam się bardzo dziwnym. *Kuryery* rzeczywiście nie doniosły o terminie dla trojaków z tej prostej przyczyny, że o nim nie wiedziały. Wszakże i sam *Wiek*, w którym ks. J. pomieścił swój list, także nie wspomniał, a niezawodnie byłby to uczynił, gdyby wraz z innemi pismami nie był zaskoczony znienacka faktem spełnionym. Słuszne tedy pretensye powinny być zwrócone w inną stronę. Mianowicie było obowiązkiem tutejszych instytucyj skarbowych za pomocą ogłoszeń w gazetach, urzędach gminnych i powiatowych zawiadomić ogół, że od pewnej daty trzygroszniaki tracą swoją wartość monety obiegowej. Taką drogą dotychczas zawsze wycofywano wszelkie znaki pieniężne i żadną inną dokonać tego nie można bez wywołania zamętu i strat prywatnych. Bo naprzód trudno wymagać, ażeby pisma peryodyczne samo stale zdobywały wiadomości biurowe, a powtóre bez urzędowych dowodów żadne z nich nie odważyłoby się zapowiadać zmian, mających doniosłe znaczenie dla stosunków kraju. Czy podobna na podstawie pogłoski lub nawet ustnego objaśnienia osób wtajemniczonych zapewniać czytelników, że od jakiegoś terminu pewna moneta — chociażby to był tylko trojak — zostanie powstrzymana w obiegu? To nie jest zwyczajna nowinka, którąby można było puszczać w świat na odpowiedzialność redakcyi.

Hygiena zecerów.

Dr. Dobrzycki przedstawił w *Zdrowiu* bardzo wyczerpującą krytykę i plan reformy w tej sprawie. Mówi on o trującem działaniu ołowiu czcionek, wywołującym cierpienia płucne, o niewłaściwej (stojącej) postawie przy pracy, o wzroku dręczonym niewyraźnymi rękopisami, o zatęchłem powietrzu i złem oświetleniu, podając jednocześnie zasady urządzenia drukarni hygienicznej. Większość pożądanych zmian zależy od właścicieli zakładów, którzy powinni pomyśleć o usunięciu fatalnych warunków; ale jest pewna część złego, która wypływa z lekkomyślności i niedbalstwa samych rzekomych orędowników doli zecerskiej, mianowicie — autorów. Kto widział kiedykolwiek te dziwaczne hieroglify, niechlujne bazgroty, łańcuszki drobnych punkcików, z których składają się rękopisy; kto oglądał zasmarowane przeróbkami i dodatkami korekty, kto sobie uprzytomni, że takie rękopisy trzeba odczytywać a takie korekty (zwykle bez osobnego wynagrodzenia) robić za pomocą wstawiania i przesuwania liter metalowych, ten pojmie, ile czasu i zarobku zabiera, ile krzywdy wyrządza zecerowi niedbały autor. Bez przesady rzec można, że piszący niewyraźnie nieraz o połowę zmniejsza zarobek składającego. A przecież są to w najlepszym razie wynagrodzenia za pracę bardzo skromne. To też zanim drukarnie nasze będą miały obszerne i widne lokale, niechże przynajmniej literaci i dziennikarze poprawią swoją kaligrafię i niech osobno płacą za większe korekty. Nie godzi się deklamować czule, a postępować niemiłosiernie.

Nauka czy figiel?

I w naszej prasie rozbrzmiała głośnem echem wiadomość o odkryciu prof. wiedeńskiego Schenka, który miał jakoby wynaleźć sposób dowolnego oddziaływania na tworzenie się płci u płodów ludzkich i zwierzęcych. Ta najnowsza bomba wyleciała z kolumn miejscowego dziennika, który został nią nabity przez samego badacza. Oblężony przez ciżbę reporterów, zapewnił ich stanowczo, że jego odkrycie nie pozostawia wątpliwości, że pracował nad niem przez lat 20, oraz że główny wpływ na powstawanie płci posiada żywność. Zagadnięci przez ciekawych rozmaici uczeni odpowiedzieli naturalnie, że nie mogą oceniać gołosłownej nowiny, która jednym wydała się prawdopodobną, a drugim niedorzeczną. Nam ona wielce przypomina znany gatunek jaskrawo upierzonych naukowo-dziennikarskich kaczek. Już samo jej wypłynięcie budzi podejrzenie. Bo jeśli prof. Schenk przez lat 20 pracował nad tym przedmiotem, jeśli doszedł do wyników niezawodnych, dlaczegoż nie przedstawił ich światu zwykłą drogą odkryć naukowych, lecz puścił naprzód z pisma brukowego rakietę, a gdy sprawiła silne wrażenie, on zamilkł i czeka? Na co czeka? Na większe wytężenie się ciekawości? Jest to sposób dobry w teatrze lub cyrku, ale nie w świątyni wiedzy. A może ma jeszcze wykonać ostatnie ściegi w swej teoryi? Czemuż jeszcze nie zachował tajemnicy z parę miesięcy, skoro ją zachowywał przez 20 lat?

Encyklopedya dla ludu.

W poprzednim numerze *Prawdy* rzuciliśmy myśl opracowania i wydania „Encyklopedyi dla ludu.“ Już po wydrukowaniu tego numeru dowiedzieliśmy się, że taka encyklopedya wyszła nakładem Macierzy Polskiej w Galicyi. Nie znamy tej książki, więc nie możemy o niej są-

dzić, jest ona wszakże dowodem, przekonywającym, że zaznaczona przez nas potrzeba została uznana i uwzględniona gdzieindziej. I gdyby nawet wydawnictwo galicyjskie posiadało charakter miejscowy, może ono dostarczyć wskazówek dla pracy podobnej w naszych warunkach. Każdy ślad pierwszy toruje drogę następnym. Powtarzamy zaś: nie chodzi o stworzenie jakiegoś Larousse'a, Brockhausa, Meyera lub Orgelbranda, tj. źródła wszechwiedzy, ale o zbiór najkonieczniejszych i najpożyteczniejszych objaśnień w przedmiotach, które umysł włościanina zajmują lub zająć mogą.

BADANIA NAUKOWE.

ZARYS DZIEJÓW FILOZOFII PIERWOTNEJ.

III.

Człowiek filozofował w każdym okresie dziejów swoich, tj. usiłował wytworzyć pojęcie o prawach przyrody, oraz o swoim do nich stosunku. Niekiedy dokonywał tego z całą świadomością celów, częściej jeszcze pierwiastki nowego poglądu na świat gromadziły się w jego mózgu żywiołowo. Systemy filozoficzne — nadajemy tę nazwę nawet tworom umysłowości dzikiej i barbarzyńskiej — powstawały jako odbicie otoczenia, jako uogólnienie wniosków, płynących z faktów i doświadczenia codziennego. Innemi słowy, stwarzała je gromada, która posługiwała się zindywidualizowanymi i wyodrębnionymi od tłumu myślicielami, jako wyrazicielami tego, co zaczynało opanowywać mózgi i nawet je opanowało — w formie poglądów niepowiązanych, zapatrywań niedopowiedzianych lub nieprzetrawionych, powątpiewań nieugruntowanych. Życie wyłania w swoim biegu nowe pierwiastki, które oddziaływają na umysły osób, znajdujących się w otoczeniu tych nowych warunków materyalnych. Myśliciel uogólnia wnioski, wiąże, rozszerza. Historya filozofii przedstawia dotychczas dzieje wysiłków indywidualnych i zawiera nazwiska pojedynczych myślicieli. Lecz nadejdzie chwila, w której zamiast jednostek zostaną tam wprowadzone gromady, systemy filozoficzne będą wtedy przedstawione jako płód rozwoju warunków bytu materyalnego, filozofowie zaś jako działacze, formułujący to, co rozpierzchłe i niepowiązane dojrzewało już wśród tłumów.

I nawet w chwili obecnej możemy przyjrzeć się takiemu powstawaniu systemów filozoficznych.

Porównywaliśmy obrzędy, amulety i inne środki walki z przyrodą, dyktowane przez dawną filozofię, z piorunochronami, jako równoznacznym objawem, który im odpowiada w systemie dzisiejszego naukowego pojmowania kosmosu. Postaramy się poddać rozbiorowi skutki, które konduktory na domach i inne nowoczesne aparaty i przyrządy muszą wywrzeć na umysły, pogrążone jeszcze w dawnym sposobie myślenia.

Włościanin, przebywający w ustronnym zakątku, patrzy na burzę jako na dzieło złej mocy. Jeszcze dzisiaj w niektórych okolicach kraju naszego wśród ludu istnieje wierzenie, iż śnieżycę sprawiają dyabli swymi tańcami. Przeciw piorunowi szuka on ucieczki w modlitwie, zapala gromnicę. Przypuśćmy, że warunki zmusiły go do opuszczenia rodzinnej wioski i osiedlenia się na stałe w mieście. Spostrzega tam nad domami konduktory i dowiaduje się od znajomych, że są to takie „druty, które łapią piorun." Umysł jego może na razie będzie nie dowierzał temu tłomaczeniu, lecz prędzej lub później upokorzy się wobec przekonywającej mowy faktów. Z filozofii jego dawnej usunięto jedną cegiełkę. Życie wielkomiejskie działa tak bez przerwy: dzisiaj niszczy dawne pojęcia o piorunie, jutro podsunie wiadomość o próbie wróżenia pogody przez stacye meteorologiczne, pojutrze o środkach dezynfekcyjnych, jako najwłaściwszym sposobie walki z epidemią. Przyroda w swojem działaniu zaczyna przedstawiać się umysłowi prostaczemu w nowem zupełnie świetle: jako coś takiego, co człowiek może zmusić do posłuszeństwa, byleby tylko poznał, w jakiem następstwie po sobie idą zjawiska. Pierwiastki mechanistycznego, przyczynowego pojmowania kosmosu, tj. pojmowania przyrody, jako olbrzymiej, automatycznie działającej maszyny, rodzą się pod wpływem faktów życia wielkomiejskiego, niespójne, nieopracowane. Trzeba osób, któreby je streściły i powiązały. Rozpowszechnianie się systemów filozoficznych w rodzaju materyalizmu odbywa się tak masowo i prędko tylko dlatego, iż poglądy te stanowią zwartą i skończoną całość założeń i wniosków, do których przebywanie w pewnem otoczeniu przygotowało umysły mas całych.

Właśnie mając na myśli takie działanie warunków bytu materyalnego, rzekliśmy, iż systemy filozoficzne powstawały jako odbicie otoczenia, jako uogólnienie wniosków, podsuwanych przez fakty doświadczenia codziennego. W epoce dzisiejszej, w której naród, skutkiem zróżniczkowania gospodarczego, został rozbity na grupy, przebywające wśród warunków zgoła odmiennych, w której wreszcie oświata jest rozdzielona w społeczeństwie bardzo nierównomiernie i wytworzyły się wyspecyalizowane grona uczonych, ów związek filozofii z faktami życia codziennego, myśliciela z gromadą nie zawsze zarysowywa się wyraźnie, niekiedy nawet zupełnie zaciera się. Natomiast w okresie pierwotnym dziejów ludzkich, za czasów dzikości i barbarzyństwa, owa zależność jest widoczniejsza. Istniejące tam lub powstające systemy filozoficzne, przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie, stanowią coś, będącego bez przerwy w stanie przekształcania się: każdy dorzuca własną poprawkę i przyczynia się do umocnienia jednych poglądów, bankructwa innych. Wszyscy badacze, którzy bezpośrednio stykali się z ludami pierwotnymi, utyskują na niestałość otrzymywanych wyjaśnień i tłomaczeń. „Wierzenia religijne ludu — pisze G. B. Grinnell*) — który nie ma pisanych pomników i którego całe wyznanie zawiera się w tradycyi ustnej, muszą z konieczności być chwiejne i mniej lub więcej zmienne. Można poznać te wierzenia, rozpytując się osób, które uważamy za najlepiej poinformowane, lecz opowieści ich nie zawsze za z sobą zgodne."

Poglądy ścierają się i równoważą, ale nie dochodzą do stanu równowagi, bo myśl ludzka nie drzemie i stwarza nowe przyczynki, odchylające się od dawnych i jeśli ma po swojej stronie poparcie „doświadczenia" codziennego, zwycięża. Tradycya istnieje tam, ale nie jest zmorą, ciążącą na rozwoju umysłowym, jaką została, gdy wynaleziono umiejętność pisma.

Powiedzieliśmy, że człowiek filozofował w każdym okresie dziejów swoich. Teraz możemy wyrazić się poprawniej i rzec, że gromada, podczas każdej epoki, masowo acz żywiołowo, stwarzała pierwiastki nowych systemów filozoficznych, póki nie nastał okres społeczeństw klasowych i gromadzie nie przeciwstawił specyalistów myśli. Dawne poglądy filozoficzne upadały, pojawiały się nowe, w miarę tego, jak życie kształtowało się inaczej, rozszerzało sferę doświadczenia codziennego i wprowadzało człowieka w styczność z nowymi faktami. Daleki nasz praprzodek, ów *praecursor hominis*, jak nazwał go A. Hovelacque, istota tylko inteligencyą wyższa od zwierząt, lecz słabsza i bezbronniejsza, bo niemająca ani pazurów i kłów naturalnych, ani sztucznych oręży i narzędzi, musiała na zwierzęta zapatrywać się inaczej, niż jej potomek, który wynalazł sidła, miał łuk lub oswoił bydło. Także żywioły przyrody wyglądają inaczej w okresie myśliwstwa dzikiego lub koczownictwa, a inaczej, gdy nastał osiadły tryb życia z rolnictwem, gdy od posuchy lub deszczów zależy dobrobyt plemienia. Człowiek w innym zgoła stosunku jest do duchów zmarłego ojca i dziada podczas dzikości, gdy każdy dzień zastaje go na innem miejscu, aniżeli w okresie naturalnego gospodarstwa, kiedy całe pokolenia rodzą się i umierają w tej samej chacie, kiedy dzieła ręki pradziadów, np. lipa na podwórzu, działają na wyobraźnię dalekich prawnuków i uczą ją szacunku dla przodków. Zooteizm z totemizmem, fitoteizm żywiołów wegetacyjnych i deszczowych, ancestroizm, dualizm, mechanistyczne pojmowanie wszechświata, monizm, wszystkie te systemy filozoficzne wyrosły w pewnem szczególnem otoczeniu i upadły lub upadają z nastąpieniem innego ukształtowania warunków materyalnych. Ogniwo wysnuwa się za ogniwem pod wpływem rozwoju stosunków rzeczowych i tworzy się zwolna pasmo następujących po sobie wierzeń i poglądów. Na jednym końcu są niepowiązane i naiwne zapatrywania Australczyka, na drugim filozofia pozytywna Comte'a lub syntetyczna Herberta Spencera; na jednym są stosowane amulety, jako środki oddziaływania na przyrodę, na drugim piorunochrony.

Moglibyśmy posunąć owo pasmo jeszcze o kilka ogniw dalej w przeszłość — teoretycznie, bo praktycznie pożytek z tego jest niewielki. Takiej próby podjął się van Ende. W pracy swojej, poświęconej rozbiorowi pierwocin myśli filozoficznej, powiada on*):

„...Niejednokrotnie wyciągano pewne wnioski, opierając się na analogiach, zaczerpniętych z życia zwierząt, i wyjaśniano w ten sposób ciemne strony przedhistorycznego rozwoju ludzkości, mianowicie pochodzenie urządzeń społecznych i początki języka. Trzeba podziwiać, czemu tej metody nie zastosowano do pytania o początku mitów. Mit, w gruncie rzeczy, w swem wyrażeniu zaczątkowem jest tylko pojęciem, jakie dziki wyrobił sobie o życiu i o przyrodzie. Pierwsze zarodki tego rodzaju pojęć muszą istnieć u zwierzęcia, skoro przyznaliśmy mu umysłowość, różniącą się od naszej tylko napięciem.

...Mitologia właściwa zaczyna się tam gdzie pojedyncze wierzenia, natury jednolitej, zbierają się nawzajem w świadomości i gdzie skutkiem tego zjawiska przyrody zostają wyodrębnione w grupy oddzielne, z których każda uchodzi za sferę działalności pewnej istoty specyalnej. Niepodobna zaprzeczyć, że język, tj. umiejętność tworzenia imion, odegrała rolę jak najdonioślejszą w tej ewolucyi. Tylko na tej drodze klasyfikacya sił i pierwiastków może dosięgnąć ścisłości należytej. Lecz pojęcie istniało prawdopodobnie przed swem sformułowaniem ustnem. Nawet u zwierząt napotykamy zbyt dużo dowodów umiejętności utożsamienia zja-

*) G. B. Grinnell. *Pawnee Mythology* w *Journal of American Folklore*, VI, 1893.

*) Van Ende, *Histoire naturelle de la croyance*, str. 33 i 221.

wisk, ażebyśmy mogli *a priori* i w sposób bezwzględny odrzucić możliwość istnienia u nich zaczątków działalności mitotwórczej."

L. Krzywicki.

FILOZOFIA.

Przegląd filozoficzny, zeszyt I-y.

Zeszyt pierwszy nowonarodzonego kwartalnika, poświęconego filozofii, odpowiada swą wartością skromnym siłom, jakie my w tej dziedzinie posiadamy. Trzeba go więc oceniać nie miarą obcego bogactwa, ale miarą swojskiego ubóstwa. Na wstępie znajdujemy artykuł p. Mahrburga: „Co to jest nauka?" Właściwie autor nie wykazuje, czem ona jest lub była, lecz jaką być powinna. A więc powinna być wiedzą, która tylko powiadamia, objaśnia i przewiduje. Wszelkie cele praktyczne, wszelkie nakazy, mają być z niej wyłączone. Że tak nie jest i nie było, wszyscy o tem wiemy: czy tak będzie—trudno dziś orzec. Rozprawka zatem p. Mahrburga stanowi rodzaj kartki wyborczej, przygotowanej do wrzucenia w urnę przyszłości. Jako ujęcie dotychczasowej pracy ducha ludzkiego w kierunku poznania, nie posiada ona żadnej wagi, gdyż autor nie dał nam formuły rozwoju, lecz tylko odpowiedź na pytanie oderwane od czasu i miejsca. Pierwsza byłaby daleko ciekawszą, ale niestety trudniejszą. Oznajmić, czem nauka być powinna, nierównie łatwiej, niż zawrzeć w ogólnem określeniu, czem ona była i jest. To ostatnie zadanie wymaga szerszych studyów historyczno-poznawczych i głębszego wniknięcia w przedmiot, czego p. Mahrburgowi brak, nadewszystko zaś brak mu zmysłu historycznego. Wprawnie włada on narzędziem logiki, które jest bardzo pożytecznem i niezbędnem, ale samo do tworzenia teoryi nie wystarcza i musi mieć odpowiedni materyał. Dzisiaj każde badanie ma wątłą podstawę, jeżeli się nie opiera na gruncie historycznym. Przyznać wszakże trzeba, że artykuł p. M. rozjaśnia mniej biegłemu w filozofii czytelnikowi niejedno pojęcie; szkoda tylko, że w wykładzie jasnym plączą się wyrażenia duchowi naszego języka obce (nauka *złorzeczona*, określeń... przez różnych *autorów podanych*, *omówienie*, prawo *na* nazwę itp.).

P. J. K. Potocki podniósł sprawę „terminologii psychologicznej," wykazując na wielu przykładach, poczerpniętych głównie z języka angielskiego, jakie trudności pokonywać musi tłomacz polski w przekładzie naukowych wyrażeń obcych z powodu niewykształconego u nas słownictwa. Przedmiot sam jest ważny, oświetlenie go umiejętne, ale materyał dowodowy zgromadzony w nadmiarze, skutkiem czego artykuł jest nim przeładowany.

Ustęp z dzieła prof. L. Steina (*Die sociale Frage im Lichte der Philosophie*): „Podstawy filozofii społecznej," pomimo wielu cennych uwag szczegółowych ani nie dowodzi wyraźnie swego założenia w tytule wyrażonego, ani nie daje należytego wyobrażenia o całości.

P. S. Dickstein podał w oryginale i tłomaczeniu dwa ciekawe listy z korespondencyi między Leibnitzem a Kochańskim (bibliotekarzem Jana III go), dotyczące przedmiotów matematycznych.

Resztę zeszytu wypełniają: autoreferaty (Twardowskiego, Kramsztyka, Kasprowicza, Krasnowolskiego), krytyki i sprawozdania (Dicksteina II. Wroński, p. Struvego; Horynga Logika ekonomii, p. J. Potockiego; Gumplowicza Staatsrecht, p. Posnera; Feuillego Le mouvement posit., p. Maliniakową; Nordau Psycho-physiologie du genie, p. Lorentowicza), wreszcie kronika, przeglądy czasopism, notatki i bibliografia. Pomimo uznania, jakie podobno zyskała „stylometrya" p. Lutosławskiego w Anglii, zdziwiła nas wielce bezwzględna dla niej pochwała ze strony prof. Struvego, który nawet zachęca naszych młodszych specyalistów do „pracowania pod kierownictwem p. Lutosławskiego." Że ktoś poświęcił swoje życie, wszystkie siły i środki studyowaniu Platona i zbieraniu po całym świecie najdrobniejszych o nim wzmianek, że w tej jednostronności doszedł do przesady i dziwactwa, to jeszcze nie racya, ażeby go inni naśladowali.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

Ferdynand Hösick: *Juliusz Słowacki*, biografia psychologiczna, 3 tomy.

Pod wpływem gmatwających się warunków ekonomicznych, w przystosowaniu do podmywającej podstawy życiowe walki o byt ukształtował się w ostatnich czasach dość wyraźny typ biologiczny, który w potocznej mowie nosi nazwę panny na wydaniu. Typ ten interesuje mnie tutaj o tyle, że wśród wyższych ustrojów daje on nadzwyczaj ciekawy przykład czasowej symbiozy z osobnikiem morfologicznie identycznym, a mianowicie ze swoją matką. I staje się rzecz dziwna: dwie jednostki, żyjące dotychczas oddzielnie, na pewnym stopniu rozwoju, tracą poczucie osobowości i zlewają się w jedną psychiczną całość. Gdybyśmy to chcieli objaśnić na podstawie celowości, musielibyśmy przyjąć, że następuje tutaj obustronna wymiana pewnych pożytecznych produktów: ile korzysta na tem osobnik mniej rozwinięty, jest to rzecz jeszcze naukowo nie zbadana; natomiast jest już faktem stwierdzonym, że drugi osobnik otrzymuje przytem głębokie zaspokojenie pewnych naturalnych popędów i potrzeb, które ochrzczone zostały pięknym terminem *miłości rodzicielskiej*.

Słowacki nie jest wprawdzie panną na wydaniu, a p. Hösick nie jest jego troskliwą matką, pomimo to stosunek jego do poety łudząco przypomina zabiegi matki, szukającej dla panny konkurenta. Toteż dla p. Hösicka literatura jest jednym wielkim salonem: tutaj odbywa się uroczysta ceremonia wprowadzenia Słowackiego w świat przez „bezstronnego i podejrzliwego" biografa. Czytająca publiczność istnieje dla niego o tyle, o ile jest dobrym materyałem na urobienie bezwzględnych i fanatycznych wielbicieli. Zobaczmy, jakimi środkami osiąga swój cel kochająca matka. Przedewszystkiem dużo mówi i ma tę skromną zalotę, że nie lubi, żeby jej przerywano (patrz: Przedmowa, str. III). Powtóre mówi przeważnie o córce i trochę o... sobie. Potrzecie, jest wprawdzie matką kochającą bez granic, ale „niezaślepioną": po ślicznych i melodyjnych hymnach tu i owdzie następuje dyskretne przysunięcie się do przyjaciółki, subtelne zniżenie głosu i zstąpienie do prostszej powieści, której szczegóły możnaby zamknąć w pudełeczku z napisem: *tajemnice alkowy*. Ale biada każdej z kumoszek, jeżeli się ośmieli wyjawić swoje zdanie o pannie, chociażby w formie stokroć łagodniejszej, niż to uczyniła sama matka! Obrażona godność przyjmuje postawę podrażnionej lwicy, pierś faluje oburzeniem, oczy ciskają złowieszcze ognie i zdają się mówić wyraźnie: „mnie wolno, ale wam wara!" P. Hösick np. wyciąga na światło dzienne takie szczegóły z życia poety, że gdyby nawet książka jego nie nosiła tytułu: „biografia psychologiczna," ale „biografia fizyologiczna," to także z czystem sumieniem możnaby na nie zapuścić zasłonę (szczegóły ze stosunku z panią Bobrową oraz z piękną florentynką); ale każdy inny biograf, który tylko mniej przychylnie wyraża się o Słowackim, jest według p. Hösicka stronny, złośliwy i uprzedzony. Autor ten poprostu nie może wyobrazić sobie, żeby kobiety, spotykane przez Słowackiego w życiu, mogły nie kochać się w nim na śmierć i, o ile tylko nie ma na to dowodów przeciwnych, dodaje zaraz z głębokiem zadowoleniem: „Sąsiadka z przeciwka, która się w nim z pewnością kochała" (I, 288). Z drugiej strony znowu w roli troskliwej matki trudno mu jest bardzo powstrzymać się od dawania w salonie poecie „małych nauczek moralnych," że nie należy postępować w danej sytuacyi tak a tak, „nawet kiedy się jest Słowackim." Prócz tego dla olśnienia zgromadzonego towarzystwa rozporządza całym arsenałem osobistych przymiotów i walorów. Bo proszę: co za koligacye i parantele! A „tak pochlebna opinia ks. Felińskiego," a „ojcowska miłość hr. Tarnowskiego," a „mój przyjaciel Tetmajer" itd. A co za erudycya salonowa! Po francusku? *Savoir vivre, elle a du chien, rendez-vous, préjuges aristocratiques, coup de foudre, quel honneur, élite de societé, plein air, clair de lune, dorer la pillule, chercher la femme* itd. itd. Po niemiecku? *Wahlverwandschaft, Wahrheit und Dichtung, mein Liebchen, was willst du noch mehr?, das ewig Weibliche, Heimweh, Weltschmertz, hier liegt der Hund begraben* *) itd. Po angielsku? *hig-life, to be or not to be, five o'clock, at home* itd. Po włosku? *con amore, finita la comedia, dolce far niente, lasciate ogni speranza, e tutti quanti* itd. Po łacinie? *carpediem, audacem fortuna juvat, memento mori, tempora mutantur, dictum acerbum, periculum in mora* itd. Po asyryjsku? *Mane, tekel, fares* itd. Prawdziwa wieża Babel! Jak po tej kosmopolitycznej miksturze wygląda autentyczny język p. Hösicka, o tem możnaby się dopiero przekonać, oskrobawszy go z kilku pokładów różnogatunkowych cytat, uszczkniętych ze wszystkich niemal literatur europejskich, a poprzypinanych tu i owdzie, niby kwiatki do kożucha. Dopiero wtenczas możnaby się rozkoszować wdziękiem i lekkością takich okresów, jak np.: „Słowacki, odkąd się pogodził z Mickiewiczem, z którym go nieraz różnili ludzie, a on sam — Mickiewicz — nie rozumiał go — Słowackiego, odkąd podali sobie ręce, tj. kiedy ujrzał Mickiewicza na wyższem stanowisku, podniesionego ku prawdzie bożej, równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie (z tego by wynikało, że w hierarchii „koła" Słowacki zajmował miejsce równe Mickiewiczowi), Słowacki pragnął, ażeby ta zgoda była rzetelną." Wtenczas dopiero możnaby odczuć niepokalaną czystość takich zdań, jak: „Czego by on nie dał za to," albo: „Słowacki był bardzo dobrze." Wtenczas dopiero możnaby się poddać bezwładnie kołyszącym wpływom ulubionych przez p. Hösicka a powtarzanych co parę wierszy zwrotów: *jakoż, jażeli chodzi* itd. Wtenczas dopiero możnaby się zacząć budować głębią hojnie rozsypanych aforyzmów i złotych myśli p. Hösicka w rodzaju np.: „Poezya poezyą, a apetyt apetytem" i wielu innych.

Po stwierdzeniu powyższem ogólnego wrażenia mógłbym teraz przejść już nad książką p. Hösicka do porządku dzienne-

*) A najlepsze z tego wszystkiego — tytuł jednego z rozdziałów: *Wanderjahre* (Słowackiego!).

go, gdybym nie czuł się w obowiązku wyjaśnienia czytelnikom jednego z najciekawszych jej atrybutów, a mianowicie — grubości. Teraz właśnie będę miał sposobność zwrócić uwagę na to, co według pięknego powiedzenia p. Hösicka o sobie jest „zejściem z wydeptanej przez poprzedników ścieżki,“ z tą tylko różnicą, że niezwykłość i zjawiskowość tego dzieła upatruję w czem innem, niż sam jego twórca. Proszę sobie wyobrazić, że chcemy się zaznajomić ze szczegółami budowy i zasadami działania maszyny w ruchu. Otóż jest to niemożliwe: kręcą się koła, furczą transmisye, suną pasy, mkną sztaby, wirują kółka, kółeczka, szruby i szrubki — a wszystko to stapia się w jeden chaos wzrokowych i dźwiękowych wrażeń. Mózg ludzki jest właśnie taką błyskawicznie pracującą maszyną: jest się w posiadaniu wyników jego pracy, zna się nawet do pewnego stopnia zasady fabrykacyi, ale wyśledzić poszczególnych faz jego niepodobna. Niezwykłość i zjawiskowość maszyny p. Hösicka polega właśnie na tem, że porusza się ona tak wolniutko i tak flegmatycznie, iż można się na pamięć nauczyć wszystkich rys, wszystkich plamek i skaz na każdem kółku, zanim zdąży się ono raz przekręcić. Dzięki temu otrzymujemy pełny obraz produkowania. Zdawałoby się np., że wytworzenie się pojęcia: *Słowacki spotykał się z rodziną Wodzińskich w Genewie na Pont du Mont Blanc*, nie pociąga za sobą żadnych skomplikowanych procesów myślowych. Wierutny fałsz! Posłuchajmy, jak wytwarza się ono w umyśle p. Hösicka. „Czy Słowacki spotykał się z Wodzińskiemi na Pont du Mont Blanc?“ — „Niestety nie umiem powiedzieć stanowczo.“ — „Czy Wodzińscy bywali tam?“ — „Nie dajmy się unosić domysłowości.“ — „Trudno odpowiedzieć na to pytanie stanowczo.“ — „Kto wie jednak,“ czy nie bywali?—„Dlaczegóżby zresztą mieli nie bywać?“ — Zaprzeczyć się nie da,“ że mogli tam bywać. — „Samo się przez się rozumie,“ że mogli bywać. — „Wynikało to z samej natury sytuacyi,“ że mogli bywać. — „A skoro“ mogli bywać, to „niepodobna nie przypuścić,“ żeby nie bywali. — „Niepodobieństwo, żeby nie korzystali z tak modnego spaceru.“ — „Jakoż co do tej kwestyi nie powinno być dwóch zdań,“ że bywali. — „A skoro“ bywali, to „dowód oczywisty,“ że się mogli spotykać ze Słowackim. — „Niezawodnie nawet“ spotykali się. — „Najprawdopodobniej“ spotykali się. — „Można być pewnym,“ że spotykali się. — „Nie mogli się nie“ spotykać. — „Przeciwnie, rzecz stę miała inaczej“ — spotykali się. — „Na pewno“ spotykali się, — *Jakoż* spotykali się. I tak zawsze: cały proces powolnego rozumowania, który się zwykle przebywa *przed* rozpoczęciem pisania, u p. Hösicka otrzymuje unieśmiertelnienie na papierze. P. Hösick po prostu myśli na papierze. I w taki sam sposób, począwszy od brudnych koszul Słowackiego, stawia biograf mężnie czoło najzawilszym zagadnieniem: analizuje gust pani Becu względem soczewicy, dochodzi do śmiałego wniosku, że jednej z dziewek w piekarni Januszkiewiczów (dziadków poety) było na imię Magda, a drugiej Kachna, odtwarza na podstawie dokumentów opis toalety karlsbadzkiej, której używał Słowacki, zastanawia się z punktu widzenia przyrodniczego, dlaczego nie zeszła rezeda, posiana przez poetę w ogródku szwajcarskim, daje nam pełne i plastyczne opisy garderoby Słowackiego w rozmaitych chwilach jego życia itd. Nie kwestyonuję zupełnie doniosłości podobnych badań naukowych, owszem, dla ludzi, mających dużo wolnego czasu i dużo czystego papieru, mogą być one nawet bardzo przyjemnym i bardzo zajmującym środkiem spędzenia życia, dając im miłe złudzenie pożytecznej pracy; ale jeżelibyśmy mieli *a priori* pochylić z uszanowaniem głowę przed niewzruszonością jej wyników, musielibyśmy przedtem nasiąknąć choćby kropelką zaufania dla nowej metody, którą wprowadził do nauki p. Hösick. Twórca nadał jej miano: *alembik psychologiczny*, co w wolnym przekładzie na polski mogłoby brzmieć mniej więcej: „wlazł na gruszkę, siał pietruszkę.“ A oto maleńka próbka tego alembika. Mowa o uroczej Corze Pinard i o jej stosunku ze Słowackim. Poeta z racyi drukowania swoich wierszy zaczął bywać u Pinardów, do których należała drukarnia. Starsza z panien Pinard, Anaïs, „bardzo interesowała się Słowackim...“ „słowem, była jego wielką zwolenniczką.“ „Gorzej Cora (młodsza) — powiada p. Hösick — bo ta *odrazu* zakochała się w Słowackim na śmierć i życie, bez pamięci.“ A on? „On w *rezultacie* nie kochał jej.“ A teraz przewracam jednę kartkę i czytam na str. 398: „Miłość w sercu Juliusza *daleko większe* czyniła postępy, niż w sercu Cory. Być może, to właśnie, że Cora *nie odrazu* zapłonęła taką miłością..“ itd. Co to jest? To jest alembik psychologiczny p. Hösicka.

Nie zamierzałem zupełnie pisać oceny książki p. Hösicka, bo gdyby nawet była ona zupełnie wolna od wszystkich wyżej wymienionych śmieszności, to także byłaby zjawiskiem równie pocieszającem i pożytecznem, jak np. lampy elektryczne w Saharze. Jedna tylko w niej rzecz zasługuje na szacunek, tj. rzeczywiście ogromny nakład pracy. Ale niestety w zajęciach wyzwolonych, do których niechybnie należy i literatura, nakład pracy dawno już przestał być równoważnikiem wartości. Trudno poprostu zrozumieć, jaki cel może mieć oderwanie pisarza od dzieł jego dla drobiazgowego przedstawienia go w roli krnąbrnego malca, zazdrosnego człowieka i pożeracza serc niewieścich? Co to kogo nauczy, jakie kwestye może to wyjaśnić i jakim sposobem może się to przysłużyć prawdzie naukowej? Z drugiej znowu strony niepodobna pojąć, jak zapowiadana przez p. Hösicka druga część pracy, mająca mówić *tylko o dziełach* Słowackiego, będzie się mogła obejść bez podkładu biograficznego? Trudno liczyć na pamięć ludzką, a jeszcze trudniej przypuścić, żeby ktokolwiek po szczęśliwem dobrnięciu do końca „biografii psychologicznej“ zechciał wziąć ją raz jeszcze do ręki.

A zresztą, żeby odbić w sobie postać wielkiego człowieka, trzeba mieć samemu duszę bardzo wielką i bardzo kryształową, inaczej zamiast wielkiego człowieka dostaniemy śmieszną karykaturę. Można uzbierać bardzo dużo różnokolorowych ładnych i błyszczących kamyków i ułożyć z nich z wielkim mozołem trzypiętrową piramidę, ale nie będzie to zupełnie obmyślanem i rozumnem dziełem architektonicznem, tylko mniej lub więcej zręcznym eksperymentem. Można także zebrać całe szuflady dokumentów literackich w rodzaju współczesnych świstków gazeciarskich, rachunków restauracyjnych, listów podejrzanej autentyczności i uszyć z tego trzytomową książkę, ale nie będzie to jeszcze dziełem naukowem, ale najwyżej oryginalnym eksperymentem beletrystycznym.

P. Hösick afiszuje się publicznie ze swoją adoracyą dla wielkiego człowieka i obdarza go niezliczoną ilością uścisków, pocałunków, objęć i karesów, ale całe to uwielbienie nie sięga o wiele głębiej pięknie skrojonego surduta albo kamizelki poety. Czy na tem wielki człowiek co zyska? — przesądzać trudno. To pewna tylko, że czytający zyskuje ogromny niesmak i musi sobie samodzielnie i z pomocą Małeckiego urobiony duchowy wizerunek Słowackiego porządnie wytrzeć, wytrzepać i okurzyć po oznakach czułości wykwintnego biografa. *Wł. Sterling.*

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Ze sceny i z estrady.

Opera nasza pod znakiem jubileuszów rozpoczęła rok nowy — na wstęp (d. 1 b. m.) poszła „Halka,“ która, wstępnym bojem zdobywszy odrazu słuchaczów, zapowiedziawszy nowy rozkwit opery polskiej, święciła 40-lecie swoje na scenie tutejszej. Pamiątkowe widowisko odbyło się, jak się tego spodziewać należało, śród warunków najpomyślniejszych, publiczność nie zawiodła i wypełniła salę teatralną, artyści ze szczególnem przejęciem wykonali Moniuszkowskie arcydzieło. W tydzień później (d. 8 b. m.) ta sama sala, te same deski sceniczne były widownią drugiego przedstawienia jubileuszowego,—tym razem wszakże jubilatem nie było dzieło, lecz kompozytor. Władysław Żeleński, dla którego rok ten jest jubileuszowym w działalności kompozytorskiej, przybył do nas na pierwsze przedstawienie swojej „Goplany.“ Wrażenia, odniesione z dzieła tego, są takie różnorodne, z tylu rozmaitych, a w jedno wielkie ognisko zbiegających się, wypływają źródeł, że — wyznajemy szczerze — trudno nam było odrazu uporządkować je tak, aby utworzyć sobie jasny sąd o całości. Powrócimy więc jeszcze do tego niepospolitego dzieła.

W wielkiej wędrówce śpiewaków zagranicznych, jaka się podczas sezonu operowego stale odbywa na scenie warszawskiej, przesunęło nam się znów kilka nowych postaci, z których żadna wszakże ponad przeciętną miarę nie wyrosła. Pani Litwin (sopran) ma głos duży, dźwięczny, dobrze postawiony, rutynę sceniczną dużą, powierzchowność okazałą, ale z temi wszystkiemi danemi w żadnej partyi (Małgorzata, Walentyna, Aida, Rachela) śpiewem porwać nie zdołała, a grą wybitniejszych zdolności aktorskich nie dowiodła, choć znów żadnej ostatecznie nie zepsuła, trzymając się mniej więcej szablonu. Pani Synnerberg (mezzo-sopran), to znów śpiewaczka „z przeszłością“ i, jak się zdaje nawet, dość odległą. Dziś pozostały jej już tylko jednorazowe — zbyt często nadużywane — wybuchy, w miejsce dawnego temperamentu, i namiętne krzyki, jako resztki pięknego zapewne ongi głosu, który dziś już tak niedopisuje artystce, tak się przerywa, że w *cantilenie* pozostają, jakby wielkie szczerby, w postaci głuchych, pustych dźwięków. Pan Camera (baryton) jest sobie śpiewakiem zupełnie przeciętnej miary, choć niepozbawionym temperamentu scenicznego, a tenor pana Russitano, jakkolwiek zmężniał od czasu jego gościny na scenie tutejszej przed laty kilku, jakkolwiek dźwięk ma miły i brzmienie dość szlachetne, nie jest wszakże takiej miary, aby usprawiedliwić upodobanie artysty do ról bohaterskich (Raul, Radames, Eleazar); tembardziej, że i gra aktorska p. Russitano jest grą typowego włoskiego *tenorina*. Najnowszym nabytkiem zagranicznym reżyseryi tutejszej jest p. Huguet (sopran koloraturowy), obdarzona głosem niewielkim, ale szlachetnie brzmiącym i zaopatrzona w odpowiedni zasób nieposzlakowanej czystości pasażów, równych gam i zdumiewających trylów.

Orkiestra nader pożądanym jest czynnikiem w koncertach Towarzystwa muzycznego, zwłaszcza jeśli z zadania swego wywiązuje się tak znakomicie, jak na koncercie ostatnim (d. 4 b. m.) Wykonanie symfonii „nieukończonej“ Schuberta było prawdziwie bez zarzutu, nie zatracił się żaden szczegół pięknego dzieła, uwypukliły się wszystkie jego subtelne piękności, tak, że trudno było uprzytomnić so

bie, iż to ta sama orkiestra, która środy poprzedniej (d. 29 grudnia) taką krzywdę wyrządziła młodemu, występującemu u nas pierwszy raz publicznie, kompozytorowi. „Serenadu“ na instrumenty smyczkowe p. M. Karłowicza wykonana została tak niedbale, tak chaotycznie, że niepodobna było wniknąć bliżej w myśli autora. Stąd też powiedzieć tylko możemy, iż „wydawało“ nam się, że *romans* jest najudatniejszą częścią kompozycyi; co bynajmniej nie przeszkadza, że, gdy usłyszymy „serenadę“ wykonaną odpowiednio, znajdziemy w innych jej częściach (marsz, walc, finał) zalety, których tym razem orkiestra wydobyć na jaw nie umiała, czy nie chciała.

W tym samym koncercie (d. 29 grudnia) brała udział p. Katarzyna Jaczynowska, a za każdym nowym jej popisem z przyjemnością zaznaczyć nam przychodzi, że talent jej mężnieje, rozwija się, postępuje drogą, wiodącą ku najszlachetniejszym wyżynom sztuki; jest to już dzisiaj fortepianistka świadoma sił i dążeń swoich, nieuganiająca się za błyskotliwemi efektami estradowemi w tłomaczeniu myśli wielkich geniuszów muzyki.

Po siedmioletniej, jeśli nas pamięć nie zawodzi, nieobecności zawitał znów do nas p. Emil Sauret, skrzypek, zajmujący wśród dość licznego szeregu znakomitych swych kolegów miejsce pierwszorzędne. Sądzimy, iż wytworną, w szkole francuskiej kształconą, grę jego określimy najodpowiedniej, nazywając ją romantyczną. Jakieś legendowe tchnienie wieje z pod tego smyczka, który takie jedwabne, miękkie, a pełne siły wielkiej, lecz nie brutalnej, dźwięki ze strun wydobywa; słuchając tych przedziwnych tonów, zdaje się, że to bajkarz jakiś czarodziejskie opowieści wyśpiewuje. Dobiera też artysta i dzieła nastrojem temu duchowi gry jego pokrewno—„Koncert“ (op. 61) Saint-Saënsa, to rzeczej wielka symfoniczna legenda, zdumiewająca pomysłami harmonicznymi, olśniewająca instrumentacyą, porywająca fantazyą i przeprowadzeniem motywów. Własne kompozycye artysty („Elegia“ i „Rondo“ z towarzyszeniem orkiestry), choć niezbyt w pomyśle samodzielne, tym samym romantycznym duchem są przepojone. Nie chcąc powtarzać utartych komunałów, o bajecznej technice i sprawności ręki Saureta, powiemy tylko tyle, że równie śpiewnych i ciągłych flażeolotów nie słyszeliśmy nawet u Burmestera.

Wzorem wszystkich naszych znakomitości śpiewaczych, przybyła do nas p. Lola Beeth, jeśli nie u schyłku, to w każdym razie nie u szczytu swej sławy. Koncert głośnej na scenach zagranicznych Lwowianki odbył się d. 9 b. m. w sali ratuszowej ze współudziałem p. Wąsowskiej-Badowskiej. Publiczność, zaciekawiona zbyt szumną i wielce nietaktowną reklamą, wysławiającą szeroko jako zasługę artystki to, co jedynie ją samą i najwyżej jej rodzinę obchodzić może, zajęła wszystkie miejsca i od pierwszego ukazania się koncertantki przekonała się, że nie chce ona w niczem łamać tradycyi. Bo oto na popis wstępny wybrała wielką aryę Sulamity z „Królowej Saby“ Goldmarka; aryę niesłychanie trudną, wymagającą niezbędnie poprzedniego „rozśpiewania się“ i tła orkiestrowego. Ubogi, z konieczności, akompaniament fortepianowy, nie mógł skutecznie poprzeć kunsztownych efektów dysharmonii i stało się, że słuchacze otrzymywali wrażenie fałszywej intonacyi częściej, niż spowodowała je istotnie trema koncertantki. W następnych dopiero aryach z „Wesela Figara“ i z „Żydówki“ wykazała panna Beeth całe bogactwo swego pięknego, pełnego głosu, całą swoją rutynę śpiewaczą, poczucie stylu, umiejętność frazowania, dowiodła, że jest niewątpliwie śpiewaczką operową wielkiej miary, dla której estrada za ciasną jest do popisu areną. Bo chociaż artystka w wykonanych pieśniach Żeleńskiego, Galla, Gumberta i Bizeta znakomitemi modulacyami głosu oddała wyraz każdej właściwy, niemniej brak pannie Beeth z natury danych na „pieśniarkę“ niezbędnych. Niema w jej śpiewie rzewności, co za serce chwyta, mało jest swobody i szczerości uczucia, niema przedewszystkiem w głosie tego, co Niemcy *schmelz'em* nazywają, a ogólne wrażenie, wyniesione z jej koncertu, wzbudziło w nas tylko żal, że na estradzie, nie zaś na scenie słyszeć nam ją wypadło.

Ceniona fortepianistka, p. Wąsowska-Badowska, huczne, a zasłużone za wytrawną grę swoją zbierała oklaski.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. Z. L. Sulima: „Sokół królewski,“ z czasów Zygmunta Augusta (332 str.), Dubowski i Gajewski.

— Tepa: „Nie z salonu“ (322 str.). Kraków, Spółka wydawnicza.

BADANIA. L. Siemieński: „Opowiadania Grzegorza o dawnych czasach Rzeczpospolitej polskiej“ (327 str.). Paprocki.

— J. Kotarbiński: „Niezdrowa miłość,“ szkice obyczajowo - psychologiczne (360 str.). Gebethner i Wolff.

ENCYKLOPEDYI powszechnej Orgelbranda wyszedł z. XI.

BIBLIOTEKA dzieł wyborowych, tom 13: „Zakopane skarby“ J. Zacharyasiewicza.

KALENDARZ dentystyczny, wyd. M. Krakowskiego.'

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Monopol wódczany w Królestwie Polskiem.

Z dniem 1/13 stycznia r. b. zaczęła obowiązywać w Królestwie Polskiem ustawa monopolu wódczanego z następującemi odstępstwami od przepisów ogólnych dla naszego kraju:

Prowadzenie handlu trunkami tak w zakładach rządowych, jak i prywatnych dozwolone jest po wsiach od godz. 7 rano do 10 wieczorem, w miastach zaś od godz. 7 rano do 11 w nocy.

Sprzedaż zabrania się: 1) w czasie procesyj, w niedziele, święta i dni galowe do ukończenia nabożeństwa; 2) po wsiach, w których odbywają się zebrania gminne i wiejskie, do czasu ukończenia tych zebrań, jak również podczas rozpraw w sądach gminnych, lecz tylko w tych zakładach, które znajdują się w odległości mniejszej, niż 250 sążni od gmachu sądowego.

Zakaz sprzedaży trunków, wynikający z tego artykułu, nie stosuje się do hotelów, bufetów (kolejowych i pocztowych), karczem i oberży, gdy idzie o zaspokojenie żądań osób, mieszkających lub czasowo przebywających w wyżej wymienionych zakładach.

Ważną także zmianę stanowi ta okoliczność, że ministrowi skarbu służyć będzie prawo na przedstawienie miejscowych gubernatorów i po porozumieniu się z władzami odnośnemi, ze względu na specyalne warunki miejscowe, pozwalać na sprzedaż trunków i w bliższej odległości, niż wymaganej przez prawo akcyzowe w art. 477, 478, 482 — 485, 529 i 600, oraz dozwalać po porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych na prowadzenie handlu napojami w poszczególnych zakładach po godzinie 11 w nocy.

Wysokość opłaty patentowej w ostatecznie zatwierdzonych dla Królestwa przepisach, oznaczoną została jak następuje:

I. Od zakładów traktyerniczych: za prawo sprzedaży piwa, miodu i wina w miejscowościach I go rzędu — rs. 30, w miejscowościach II-go rzędu — rs. 20 i III-go rzędu — rs. 10; za prawo wyszynku wódki i wyrobów wódczanych w dowolnych ilościach: w miejscowościach I go rzędu — rs. 70, w miejscowościach II-go rzędu — rs. 20 i III go rzędu — rs. 15.

II. Od zakładów traktyerniczych wyższego rzędu (pierwszorzędnych hotelów i restauracyj), w których dozwolona sprzedaż w dowolnej ilości dla konsumowania na miejscu i bez obowiązku prowadzenia handlu temi napojami w naczyniach zapieczętowanych i po cenie ustanowionej: w miejscowościach I-go rzędu — rs. 200, II-go rzędu — rs. 70 i III-go rzędu — rs. 50.

III. W bufetach. a) przy teatrach i na zabawach publicznych — rs. 15; b) przy resursach: w miejscowościach I-go rzędu — rs. 30, II-go rzędu — rs. 20 i III-go rzędu — rs. 10 za prawo sprzedaży piwa, miodu i wina, oraz rs. 40, 30 i 10 za prawo wyszynku wódki w dowolnej iłości; c) na stacyach dróg żelaznych — głównych rs. 20 i na wszystkich innych rs. 10 za prawo sprzedaży piwa, miodu i wina, oraz rs. 100 i 25 za prawo sprzedaży wyrobów wódczanych w dowolnych ilościach; d) na statkach parowych rs. 10 za piwo, miód i wino i rs. 25 za wódkę w dowolnych ilościach, o ile statek utrzymuje komunikacyę wyłącznie w granicach okręgu sprzedaży skarbowej, na wszystkich zaś innych statkach opłata za wódkę, piwo, miód i wino wynosi rs. 50; e) na wieczorach, bazarach i zabawach publicznych, urządzanych na cele dobroczynne i inne użyteczności społecznej, w miejscowościach I-go rzędu — rs. 6, II-go — rs. 3 i III-go — rs. 1 za każdy [illegible]

IV. Od karczem i zajazdów: w miejscowościach I-go rzędu — rs. 60, II-go — rs. 30 i III-go — rs. 20 za piwo, miód i wino, oraz rs. 100, 60 i 30 za wyszynk wódki w dowolnych ilościach.

V. Od sklepów z piwem, bez prawa do konsumowania na miejscu w miejscowościach I-go rzędu — rs. 15, II-go — 10 i III-go — rs. 5, z prawem zaś konsumowania na miejscu oznaczono opłatę dwa razy większą.

VI. Od zakładów handlowych, którym dozwolona sprzedaż na wyniesienie piwa, porteru i miodu w miejscowościach I-go rzędu — rs. 15, II-go — rs. 10 i III-go — rs. 5.

VII. Od winiarni handlujących wyłącznie ruskiemi winami: w miejscowościach I-go rzędu — rs. 25, II-go — rs. 15 i III-go — rs. 5.

VIII. Od handlów win: a) bez prawa konsumowania na miejscu, w miejscowościach I-go rzędu — rs. 150, II-go — rs. 50 i III-go — rs. 25; b) za prawo konsumowania na miejscu dodatkowo rs. 350, 250 i 75.

IX. Od składów hurtowych piwa, miodu i win ruskich: w miejscowościach I-go rzędu — rs. 60, II-go — rs. 40 i III-go — rs. 20.

X. Od wystaw czasowych: w miejscowościach I-go rzędu — rs. 10, II-go — rs. 5 i III-go — rs. 3 za pierwsze trzy dni, a następne po rs. 3, 2 i 1 dziennie.

Jednocześnie z wprowadzeniem powyższych opłat, wszelkie dodatkowe opłaty od patentów na korzyść kas miejskich i na fundusz drogowy ustają.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W kilku niemieckich pismach znajdujemy taką statystykę za miesiąc listopad r. z.: W miesiącu tym przeszły w W. K. Poznańskiem tylko jedne dobra z rąk niemieckich w polskie, mianowicie Golina z Golinkiem i Stefanowem (4,100 mórg) za 1,100,000 marek. Za to komisya kupiła dobra rycerskie Grzybowo-Chrzanowice, w powiecie Witkowskim za 330 tys. i folwark Kawiara pod Gnieznem (500 mórg). W Prusiech Zachodnich przeszły w ręce niemieckie dobra Hamry pod Bro-[illegible]

— Liczba filij Banku państwa w Królestwie Polskiem będzie niebawem powiększoną. Przy filiach tych otwarte zostaną kasy oszczędnościowe i dokonywane będą wypłaty przekazów pocztowych i telegraficznych.

— Projekt założenia w Warszawie Towarzystw artelowych przychodzi do skutku. Przedstawienie zrobione w ministeryom przez tutejszy komitet giełdowy, uzyskało aprobatę.

— Niektóre zarządy ziemskie południowych gubernij poruszyły projekt obowiązkowego ubezpieczenia koni na wypadek kradzieży.

— Powstaje w naszem mieście Towarzystwo gry szachowej.

— Ma powstać Towarzystwo popierania przemysłu rybnego pod postacią Warszawskiego oddziału Cesarskiego Tow. hodowli ryb i rybołówstwa w Petersburgu.

— Według informacyi *Warsz. Dniew.*, p. Apuchtin ustąpił ze stanowiska rosyjskiego Tow. dobroczynności w Królestwie Polsk., a na jego miejsce powołano rz. r. st. Ligina.

Szkoły. *Prawit. Wiest.* ogłosił ustawę normalną Towarzystw pomocy dla uczącej się młodzieży. Ustawa ta odznacza się tem, że niektóre jej punkty, stosownie do warunków miejscowych i woli założycieli, mogą ulegać zmianom odpowiednim; gubernatorowie mają prawo zatwierdzać Towarzystwa pomocy bez porozumiewania się z ministeryum spraw wewnętrznych.

— Projekt urządzenia kursów farmaceutycznych dla kobiet doznał w departamencie medycznym dobrego przyjęcia.

— *Now. Wr.* donosi: „Wobec tego, że gmachy dla politechniki warszawskiej i kijowskiej nie będą ukończone z początkiem przyszłego roku szkolnego, i wobec ujawnionej już oddawna potrzeby ich otwarcia, pierwsze kursy tych nowych zakładów naukowych otwarte będą w sierpniu r. b. w gmachach wynajętych. Na koszty pomieszczenia tych kursów ma być użyta część zebranych prywatnie funduszów."

Prasa. *Birż. Wied.* dowiadują się, że postanowiono uwolnić od uprzedniej cenzury peryodyczne pisma prowincyonalne. Wiadomość ta wymaga potwierdzenia.

— Zwracamy uwagę specyalistów na pracę p. t „Spostrzeżenia archeologiczne przy robotach wodociągowych w Lublinie," która wychodzi w *Gaz. Lubelskiej*.

Koleje i komunikacye. Od 13 stycznia otwarty zostanie dla ruchu nowy oddział kolei Syberyjskiej od st. Kańsk do st. Klucze.

— Główny zarząd poczt i telegrafów opracował ustawę pocztową, która zastąpi przepisy tymczasowe, wydawane co pięć lat przez ministeryum spraw wewnętrznych.

Wystawy i zjazdy. Na wszechrosyjską wystawę ogrodnictwa w r. 1899 ministeryum skarbu wyznaczyło kredyt 21,000 rs.

— W jesieni r. b. ma być urządzona w Petersburgu wystawa obrazów polskich malarzy.

Hygiena. *Warsz. Dniew.* zamieścił szereg przepisów, projektowanych przez warszawski urząd lekarski, a mających obowiązywać wszystkie zakłady fryzyerskie i balwierskie. Będą one zabezpieczały publiczność od złych skutków nieczystości, goszczącej stale w niektórych zakładach tego rodzaju.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panom G. W., H. itd. Numer pierwszy ekspedyowaliśmy na pocztę dopiero 7 stycznia, stąd opóźnienie w przesyłce.

Ja. Re. Wiersze Pani złe nie są, ale brak im artystycznego obrazowania, które jest jednem z najważniejszych pierwiastków poezyi. Nawet ładne myśli i szczere uczucia wyrażać w rytmie i rymie — to dla niej nie dosyć. Czy wyobraźnia pani kiedyś się nie rozwinie — dziś orzec trudno.

Panu Ben. H. Jest to przedmiot za obszerny dla artykułu. Chociaż więc praca Pańska zawiera wiele spostrzeżeń bardzo trafnych, z konieczności jest ona powierzchowną i w takich ramach inną być nie może.

SPROSTOWANIE. W nr. 1 *Prawdy*, w artykule Chmielowskiego, wiersz 1, zamiast: *jedynym*, być powinno: *jednym*.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 2 Января 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.